Nr. 25. Poznań, dnia 23 Czerwca 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynos kwartalnie
na poczcie . 1,5
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

Ważny moment.

W sprawie szkolnej nadeszła chwila decydująca. Wobec nowych kar nakładanych na rodziców za „duchową“ nieobecność dzieci na lekcyi religii, wobec niemożności odwołania się w sprawie tych kar do sądów dochodzą nas często pytania ze strony czytelników domagających się rady, co mają robić: ustąpić czy strejkować dalej?

Istotnie tak brzmi pytanie wobec zatargu, który od roku prawie toczy się między władzami szkolnemi a rodzicami polskimi o język wykładowy nauki religii, o pozdrowienia polskie, o polski pacierz.

Była chwila w czasie tego zatargu, że rodzice mogli mieć słuszne nadzieje, że pragnienia ich ziszczą się, że władze szkolne ustąpią. Była to chwila, kiedy co dzień ze wszech stron Księstwa i Prus Zach. nadchodziły wieści o rozwoju strejku, o odezwach księży do swoich parafian. Najbardziej podniosły w całej tej walce był moment, kiedy ś. p. ks. arcybiskup Stablewski w okólniku swoim wypowiedział zasady Kościoła katolickiego w tej mierze. Społeczeństwo nasze, które do zmarłego wkrótce potem arcypasterza swego ze względów na jego politykę wiele miało żalów, podążyło tłumnie i zgodnie za trumną do grobu jego, by mu okazać swoją wdzięczność za to przedśmiertne świadectwo wiary.

Wkrótce potem posypały się na wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób do rozpowszechnienia strejku szkolnego się przyczynili, niezliczone kary.

Najpierw nastraszono rodziców przymusowem wychowaniem dzieci. Kiedy jednakże sądy nie zatwierdziły postępowania władz, a nawet sejm pruski wypowiedział się przeciwko przymusowemu wychowaniu, zabrano się do prasy i redaktorów. Kary zamknęły redaktorom usta — prasa przestała do strejku zachęcać.

Po redaktorach zabrano się do kar na księży. Czytelnicy nasi niech przejrzą tylko dwa ostatnie kwartalniki „Pracy“, a znajdą w nich wszystkie sylwetki zasądzonych księży i innych osób, które publicznie czy prywatnie strejk popierały.

Strejk to słabł — to rósł. Tak i dziś jest. Nikt nie może powiedzieć, jak długo pomimo nowych prób strejk szkolny trwać jeszcze może.

Dwie atoli rzeczy według ogólnego mniemania są jasne: 1) że rząd z zajętego wobec strejku stanowiska nie ustąpi, 2) że wobec tego strejk powoli lecz stale będzie zanikał, aż ustanie kiedyś zupełnie.

Wobec tego zapytać się należy, czy nie lepiej zaprzestać strejku dobrowolnie, by wyjść z walki tej z honorem — czy też zachować wobec strejku milczenie, godząc się tem samem na powolne jego słabnięcie i zanik?

Nowe kary za „duchową“ nieobecność zanik strejku zapewne przyspieszą. W ten sposób pytanie, co robić — staje się palącą kwestyą chwili.

Pojawiają się tu i owdzie w prywatnych dyskusyach nad strejkiem szkolnym zdania, że strejk szkolny i tak upadnie — że zatem lepiej zachować milczenie i pozostawić czasowi rozwiązanie tej kwestyi.

Naszem zdaniem pogląd taki na sprawę strejku jest podyktowany chęcią uniknienia odpowiedzialności za taki lub owaki koniec strejku. Jest on z gruntu fałszywy. Kto bowiem kiedykolwiek rodziców do strejku nawoływał, czy teraz jak Piłat umywać będzie ręce od odpowiedzialności za jego koniec czy nie — moralnie zań odpowiedzialnym jest i wobec przyszłości zawsze będzie. Ta moralna odpowiedzialność nakłada nań teraz obowiązek, jeżeli uważa, że strejk i tak upadnie, wypowiedzieć swoje zdanie. Milczenie w tym wypadku musiało by być równoznacznem z oświadczeniem się za dalszym ciągiem strejku.

Z listów rodziców, które odbieramy, nie wynika wcale, jakoby oni ostatecznością przynagleni koniecznie od nas wymagali rady do zaprzestania strejku. Dowód to, że rodzice zawsze jeszcze mają dobre chęci. Ale czy wolno nam te dobre chęci napinać do ostatecznych granic? My jeden tylko z tych dobrych chęci rodziców wysnuwamy wniosek, że nie przynagla nas jeszcze ostateczność do dawania rady w tej sprawie. Nakazuje nam jednakże wypowiedzenie naszego zdania inna kwestya a mianowicie: jak przychylni i nieprzychylni nam nazwią koniec strejku szkolnego, jeżeli strejk pod groźbą kar powoli zniknie.

Otóż nie ulega wątpliwości, że organa rządowe na wsze strony świata ogłoszą — swoje zwycięstwo. I będą miały poniekąd słuszność. Kto bowiem *pod przymusem* ustępuje z pola walki, ten tem samem uznaje się zwyciężonym. Kto natomiast z pola walki *z własnej, dobrej woli ustępuje*, ten zaznacza, że uważa walkę *za nierozstrzygniętą*.

Wobec tego musimy sobie postawić pytanie: czy przyznać władzom rolę zwycięzców i tryumf — czy też wolimy pozostawić walkę nierozstrzygniętą?

Jeżeli chcemy przyznać władzom nad nami zwycięstwo, to potrzeba nam tylko zachować rolę bierną. O resztę postarają się władze same.

Szczerze mówiąc, tryumfu i roli zwycięzcy rządowi pruskiemu żadną miarą nie życzymy. Wolimy raczej, że społeczeństwo nasze z własnej, do-

<...>ej i nieprzymuszanej woli *strejku zaprzestanie.*

W ten sposób zachowamy sobie prawo nazywania walki szkolnej nierozstrzygniętą, prawo do nazwania jej manifestacyjnym protestem przeciwko krzywdom, jakie na duszy i na ciele w szkole pruskiej ponoszą dzieci nasze.

Nadchodzą obecnie wakacye szkolne. Rodzice będą mieli czas sprawę tę sobie dobrze rozważyć i poczynić odpowiednie kroki protestu.

Może i pewnie przyjdzie im z żalem zaprzestać tej walki, może tu i owdzie odezwie się głos rozgoryczenia na doradców do strejku. Niechaj jednakże wówczas wszyscy ci niezadowoleni i rozgoryczeni przywiodą sobie na myśl najwznioślejsze chwile tej walki — tryumf zgody i jedności wszystkich warstw, wszystkich przekonań w sprawie szkolnej. Niech przywiodą sobie na myśl straszną przewagę potęgi, która wysunęła przeciwko nam najcięższe kolubryny praw swoich i że koniec końców — my *dobrowolnie cofamy się, niezwyciężeni, wraz z protestem przeciwko obecnemu stanowi rzeczy w szkole.*

Uważaliśmy za obowiązek wypowiedzenia zdania naszego w sprawie strejku szkolnego szczerze i otwarcie. Uczyniliśmy to w poczuciu naszego dziennikarskiego obowiązku i ze względu na uchronienie społeczeństwa od dalszych, teraz już bezowocnych ofiar i poświęcenia.

Dość tej walki, dość poświęceń. Przyniosły one nam podziw świata całego, że tak mała garstka, jaką tworzymy wobec kilkudziesięciomilionowego narodu niemieckiego, że pozbawieni wszelkiej możności pielęgnowania i rozwoju narodowych naszych cech i rodzimej kultury polskiej, wytrzymujemy ataki kultury niemieckiej, która zdaniem tego świata dosięga najwyższych osięgalnych szczytów.

Może znajdą się wśród nas tacy, co za wypowiedzenie naszego zdania rzucą na nas kamieniem. Wolimy jednakże ten kamień, jeżeli go ciśnie w pierś naszą dłoń bratnia, aniżeli urągowisko tryumfu hakatystycznego, żeśmy zostali zwyciężeni.

Od 15 — 25 czerwca, a zatem tylko do wtorku tego tygodnia jeszcze przyjmują listonosze — przedpłatę na „Pracę" na trzeci kwartał.

Listy warszawskie.

Warszawa, 17. czerwca.

Zamach stanu w Rosyi został dokonany. Car odebrał nadaną przez się ludom swego państwa konstytucyę. Konstytucya ta przyznawała monarsze prawo rozwiązywać i zwoływać Dumę, oznaczać termin wyborów i zebrania się Dumy. Lecz istniejąca ordynacya wyborcza mogła być — wedle konstytucyi — zmieniona tylko uchwałą Dumy. Ogłaszając wydanie przez się nowej ordynacyi wyborczej, Mikołaj II., cofnął tem samem nadane parlamentowi prawa. I uczynił to manifestem swym, odezwą carską do narodu, jako samowładny władca Rosyi, odpowiedzialny za swe czyny i rządy jedynie przed własnem sumieniem. Manifest carski z całym naciskiem akcentuje ten swój charakter aktu autokratycznej woli carskiej. „Tylko władza carska, która dała ustawę o pierwszej Dumie, ma prawo zmienić ordynacyę wyborczą. Bóg dał nam naszą carską władzę nad ludami rosyjskimi, abyśmy kierowali ich losami.", Mocą tej władzy car postanowił zmienić ustawę wyborczą do Dumy, „której skład uznał za nieodpowiedni i wadliwy."

Wprawdzie manifest carski zapowiada jednocześnie utrzymanie nadal „w mocy wszystkich zarządzeń uczynionych prawem z dnia 30-go października 1905 r. o ustawach zasadniczych," lecz frazes ten został wstawiony doń po to tylko, aby tem silniej właśnie zaznaczyć carską władzę autokratyczną, aby wskazać, że car nigdy nie zrzekał się swego samowładztwa, i że dzisiejszy akt nieograniczonej jego woli w niczem nie przeczy ogłoszonym 30 go października 1905 r. „ustawom zasadniczym."

Stoimy wobec faktu wyraźnego powrotu w Rosyi do rządów absolutnych.

Car zwołuje nową Dumę, ale z góry jej zapowiadając, że będzie ona jedynie ciałem doradczem, że nie myśli się dzielić z nią prawodawczą swą władzą, bo od jego wyłącznie uznania zależy, czy chce się z jej głosem liczyć, uznać ją za reprezentacyę narodu, i że obradować ona będzie nad projektami ustaw nie z woli ludu, wybierającego posłów, lecz z „zarządzenia" carskiego.

Rosya jest znów nieograniczoną monarchią, car autokratycznym jej władcą. Oto właściwe znaczenie wczorajszego manifestu carskiego. Car ogłasza w nim dokonany przez się zamach stanu, cofnięcie nadanej konstytucyi.

Społeczeństwo rosyjskie nie umiało utrzymać w swym ręku władzy, którą chwilowo było uzyskało. Brakło w niem czynnika, zdolnego ustalić w państwie rosyjskiem rządy konstytu-

---

Kraków — Zakopane.

Zakopane, d. 10. czerwca 1907 r.
Willa „Liliana."

Tak zacisznie w około. W pobliżu strumyk po kamieniach szumi, tak jednostajnie, tak spokojnie, że zdaje się, jakoby i życie takim spokojnym jednostajnym dążyć mogło biegiem.

W oddali — jest wieczór i na dworze ciemno — słyszę psy naszczekujące w chatach tutejszych gospodarzy, gazdami zwanych. Wszystko tu jakby nastrojone na nutę ukojenia bólów cierpień i smutku...... I płynie z tej ciszy jakaś moc, jakaś energia, podnosząca siłę woli, a w duszę wlewająca piękne myśli, pragnienia, ideały.

.....Do Zakopanego wiedzie droga przez Kraków. I nie przypuszczam, żeby ktoś z braci moich wielkopolskich, pragnący w Zakopanem zaczerpnąć nowych sił dla swego ciała, zaniedbał wprzódy pokrzepić się na duchu w Krakowie!

W przejeździe oczywiście zatrzymałem się w Krakowie. Z pobytu mojego z przed kilku lat majaczyła mi się jeszcze droga wiodąca do katedry na Wawelu. Zdaje się, że drogę tę wskazywały mi duchy dobre. Nie pytałem się o nią — a nie zmyliłem jej.

Na przeciwko grobowca św. Stanisława ugięły się podemną kolana — klękam, głowa opada mi w dół, przymykam oczy — i duszą rozmawiam z królewskimi duchami, z przeszłością naszą.

Oglądam się w około. To święci i króle Polski w braterskiem spoczywają kole. W oku moim łza i duma świeci. Z duszy mojej wyrywa się okrzyk:

„Chodźcie tu, wy wszyscy, którzy kalacie imię Polski, którzy plwacie na jej przeszłość, którzy odmawiacie jej prawa do życia! — chodźcie i patrzcie, jaka ona była, jaka jej kultura, jaka przeszłość.

Tu wobec tych pamiątek naszej przeszłości, naszej kultury i naszej wielkości przychodzą mi na myśl słowa Chrystusa wypowiedziane w chwili konania: Ojcze, przebacz im — oni nie wiedzą, co czynią!

Ojczyzno moja święta, wielka Polsko przeszłości, święty ideale przyszłości — wybacz wszystkim tym, któ-

cyjne, rządy prawa, gdy car został biegiem wypadków zmuszony do zrezygnowania z dawnej nieograniczonej swej władzy.

Absolutyzm został przez wojnę mandżurską, przez wewnętrzne w państwie zaburzenia, zdyskredytowany. Dla utrzymania nadal mocarstwowego stanowiska Rosyi, konieczną się stała gruntowna reorganizacya systemu rządów. Dynastya nie czuła się na siłach przeprowadzić jej sama. Gotowa była podzielić się władzą ze społeczeństwem. Ale w narodzie rosyjskim nie było sił politycznie twórczych, również jak nie ma ich w rządzie. Zarówno jak w biurokracyi rosyjskiej jedna jest tylko zdolność niszczenia, tak samo i w społeczeństwie rosyjskiem istnieją dziś tylko prądy destrukcyjne.

W całem państwie rosyjskiem, za wyjątkiem Polski, widzieliśmy przez przeciąg owych trzech lat zamętu jedynie zawzięte tępienie rewolucyonistów.

Ani rząd, ani społeczeństwo nie zdobyło się na jakąbądź pracę organizacyjną, jakąbądź społecznie czy kulturalnie pozytywną działalność. Myśmy mimo całej anarchii z góry i z dołu w Królestwie i na Litwie szerzonej, stworzyli przez ten czas Macierz szkolną, powołali do życia Kółka rolnicze, centralne towarzystwo rolnicze w Warszawie, skonsolidowali opinię narodową całego społeczeństwa, umocnili polityczną świadomość w masach ludu włościańskiego, zorganizowali liczne towarzystwa kulturalne po miastach i miasteczkach prowincyonalnych.

W Rosyi tymczasem były z jednej strony tylko zamachy, strajki, bunty, z drugiej ekspedycye karne i sądy polowe.

Duma nie była niczem innem, jeno jednym terenem więcej starcia się tych sił wyłącznie niszczycielskich. W tem tkwił zasadniczy tragizm Dumy.

I jak w państwie rosyjskiem jedynem społeczeństwem żywotnem, zdolnem do społecznego i cywilizacyjnego postępu była Polska, tak samo i w Dumie jedynem stronnictwem pozytywnej pracy, jedynym klubem prawdziwych parlamentarnych działaczy, okazało się *„Koło polskie.“* Nie zbiegiem szczęśliwych okoliczności, lecz swą rzeczywistą polityczną wyższością, zajęło ono to decydujące w Dumie stanowisko, które ostatnimi czasami sobie zdobyło. Nie mogło jednak oczywiście jedno „Koło polskie“ uratować całej Dumy. Bo Duma została rozpędzoną nie z powodu swych tylko błędów taktycznych. Przegrało na razie społeczeństwo rosyjskie w walce z biurokracyą.

Konsekwencye tej przegranej spadną i na nas, bodaj nawet najciężej na nas. Absolutyzm rosyjski nie może tego ścierpieć, aby społeczeństwu polskiemu przypadła w udziale kierująca rola w kształtowaniu politycznego życia całego państwa. I dlatego jednym z pierwszych kroków reakcyi jest ograniczenie ilości posłów z Królestwa.

Rosya absolutystyczna może być rządzona jedynie przez Niemców nadbałtyckich i przez doradców z Berlina. Ale wpływ polski na rządy w Rosyi musi z istoty swej kierować Rosyę na tory praworządnego życia, panowania ustaw, nie osób, istotnego parlamentaryzmu.

Rządy absolutne w Rosyi są nie do pogodzenia z polskiemi dążeniami politycznemi. Rozumiało to doskonale „Koło polskie.“ Polityka jego wbrew dąsom „ugodowców,“ była stale polityką „legalności,“ obrony ustaw, a nie „lojalizmu dworskiego.“ A jednocześnie zdawało sobie Koło dokładnie sprawę z istotnej wartości „rewolucyi rosyjskiej.“ Więc też położyło główny nacisk na pracę w kraju, na wykorzystanie każdego zwolnienia dotychczasowych więzów, by wzmocnić podstawy naszego narodowego bytu i naszej narodowej samowiedzy w masach ludowych. *Sp.*

Przyjaciół i zwolenników „Pracy“ prosimy, ażeby przy każdej okazyi polecali „Pracę“ w gronie rodaków. Nadają się ku temu najlepiej wszelkie uroczystości familijne oraz zebrania towarzystw i wiece.

Listy lwowskie.

Lwów, 16 czerwca

(Stanowisko ludowców wobec Koła Polskiego; Rada Narodowa; syonistyczne zabiegi; organizacya ruskiej szlachty; wystawa przyrodniczo-lekarska.)

Jutro 17 b. m. rozpoczynają się obrady wiedeńskiego parlamentu; rozpoczynają się obrady w tej chwili, kiedy niewątpliwie parlament rosyjski, Duma, gdzie mamy drugą reprezentacyę polską, istnieć przestanie. zduszony ręką samowładztwa i tyranii. Tem większej trzeba nam konsolidacyi stronnictw i opinii w kraju: stajemy w przededniu ważnych wypadków w Królestwie, stoimy wobec nich w Księstwie, czeka nas walka w zaborze austryackim. Tem bardziej zależeć nam musi na silnej i sprężystej reprezentacyi we Wiedniu. Najsilniej reprezentowane w wiedeńskiej izbie posłów z polskich stronnictw stronnictwo ludowe odbyło w ubiegłą

---

rzy imię Twoje kalają. *Oni ciebie nie znają!*

Idę od grobu do grobu. Przy każdym pomniku kryjącym zwłoki królewskie przypominam sobie historyę i działalność, jaką królów za życia dla dobra narodu swego rozwinął.

Przed oczami duszy mojej odżyła cała przeszłość Polski. Widzę jak jeden król za drugim, wiek za wiekiem przynoszą i składają na gmach państwa polskiego swoją cegiełkę, jak przez te wieki zmienia się naród nasz zewnętrznie i duchowo, jak potężnieje, rośnie, rozwija się.

Upadek Polski wydaje mi się jakby groźną marą, której nie chcę dać dostępu do mojej wyobraźni.

A jednak przypominają mi go groby Augustów saskich — przypominają mi go groby Kościuszki i Józefa Poniatowskiego.

Ale przypomnienie to nie przygnębia mnie, nie studzi moich myśli i uczuć dla przeszłości. Owionął mnie tutaj duch, który nie rodzi obaw, ani na duszę nie rzuca czarnych cieniów. Nie, to raczej płomienie, jasne płomienie najgłębszego przekonania, że taka przeszłość jak nasza — z duszy naszego narodu wyrwać się nie da.

Wydawało mi się, że myśmy przeszłością naszą za głęboko wrośli w tę ziemię, by burze, jakie nami teraz miotają, miały nas z niej wyrwać.

I nie wyrwą!........

W szczupłej gromadce zwiedzałem następnie skarbiec katedry wawelskiej, podziemia, z wieży Zygmunta zapuszczałem wzrok hen na Kraków, na tę ziemię naszą i ogarniałem ją okiem miłości i błogosławieństwa.

Ziemio nasza! — Nie głogi, nie osty, nie ciernie rodź ludowi, który krwią i potem cię użyźnił, ale rodź mu złote ziarna pszenicy, bo on cię sercem i duszą swoją ukochał.

Na duszę moją padła jakaś rzewna ale słodka zaduma. Chodziłem po Krakowie jakby we śnie przeszłości, rynek zaludniałem wojownikami i bohaterami polskimi, muzea i kościoły trofeami przeszłości, przybytki nauki mądrością i wiedzą z dawnych i dzisiejszych lat.

Krok każdy przynosił duszy mojej ulgę, to też w najlepszem usposobieniu udałem się na pociąg do Zakopanego. *Idzi Świtała.*

niedzielę zjazd, celem naradzenia się nad kwestyą wstąpienia ludowców do Koła. Ludowcy, idąc za uchwałami zjazdów poprzednich, na razie do Koła wstąpić nie mogą, stosunek atoli swój uzależniają od kongresu stronnictw, który się odbędzie latem, a który da odpowiednie dyrektywy ludowcowym posłom; na razie jednak postanowiono utworzyć komisyę parlamentarną ludowców, któraby porozumiewała się z komisyą parlamentarną Koła Polskiego celem ujednostajnienia akcyi w sprawach narodowych i wszelkich innych, które na porządek obrad w izbie posłów przyjdą.

Jednocześnie ze zjazdem ludowców odbywały się obrady *Rady Narodowej*. Dziś po wyborach, gdy można się przekonać, że w niejednej sprawie Rada pobłądziła, że zbłądziła zasadniczo, bo zamiast wszystkie siły skierować przeciw syonistom, socyalistom i ku obronie mandatów polskich w Galicyi Wschodniej, Rada Narodowa jakoby za cel sobie wzięła złamanie ludowców, co im się zupełnie nie udało, — dziś, — mamy głębokie przekonanie — Rada, spostrzegłszy swe błędy, weszła na tory rzetelnej pracy. Oto Rada podjęła przedewszystkiem organizacyę ludności polskiej w Galicyi wschodniej, organizacyę, która była koniecznością wobec zwartych szeregów rusińskich i syonistycznych, organizacyę, która nie pozwoli na powolne ruszczenie się tysięcy chłopów polskich, a ujętą w karby inteligencyę skieruje do pracy nad opuszczonym ludem. Rada Narodowa będzie również miała pieczę nad interesami narodowymi na Bukowinie i Śląsku, gdzie trzeba silnego kontaktu i współpracy z istniejącemi tam partyami. Powoła wreszcie Rada do życia polskie biuro korespondencyjne; będzie to fakt bardzo doniosły; Europę informują o stosunkach w Polsce panujących biura korespondencyjne niemieckie, które nie raz i nie rzadko przedstawiają wypadki tendencyjnie, albo też tendencyjnie o nich — milczą. Przykładów długo szukać nie trzeba; wystarczy przypomnieć strejk szkolny w Poznańskiem, i sprawę ruską w Galicyi. Polskie biuro korespondencyjne będzie informowało Europę nie tylko o stosunkach i zdarzeniach w zaborze austryackim, ale także o stosunkach i wypadkach we wszystkich zaborach. Znaczenie więc jego i działalność nie ograniczy się do jednego zaboru, ale dotyczyć będzie całej Polski.

Syoniści w Galicyi zaczynają coraz bardziej podnosić głowę. Nie siłą i potęgą żydostwa, ale dzięki przypadkowym konjunkturom i sprzyjającym okolicznościom, dzięki forsie pieniężnej i poparciu Rusinów, wybrano trzech syonistycznych posłów z Galicyi. Utworzą oni wspólnie z syonistą Straucherem z Czerniowiec klub syonistyczny w parlamencie, który — jak oświadczył jeden z ich przywódców — pójdzie obok Rusinów przeciwko Polakom celem złamania wpływów i potęgi polskiej w Galicyi. Obecnie uwidocznia się jawniej nienawiść, jaką do nas żywią; zarysowała się już silnie w czasie wyborów, przebija się obecnie podczas przypadających tu i owdzie wyborów do kahału, który pragną opanować, by mieć silniejsze oparcie dla swych wpływów. Odbija się także wśród młodzieży akademickiej. Oto syoniści na uniwersytecie zażądali uznania narodowości żydowskiej i jej praw. W konsekwencyach prowadziłoby to do używania „żydowskiego“ języka „ojczystego.“ Ale jaki jest język „ojczysty żydowski“ — niewiadomo. Będzie to żargon czy hebrajszczyzna? Pierwszego się wypierają, jako gwary tłumów, drugiego $^9/_{10}$ syonistów nie zna! Pisma swoje w Galicyi wydają po polsku i po niemiecku, ale tych przecie języków, których z musu używają, nie uznają za ojczyste! Ciekawy problemat.

Agitacya ruska przybrała bądź co bądź nader charakterystyczną nową

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

53) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Szczególnie podniosło się szkolnictwo, a na tem polu największe zasługi położyli minister oświaty Stanisław Potocki i Adam Czartoryski. Założono szkoły wojewódzkie, wydziałowe, podwydziałowe i elementarne. W Warszawie został założony uniwersytet zwany Aleksandrowskim, ze wszystkimi wydziałami, a pierwszym jego rektorem był ksiądz Szwejkowski (r. 1817), w Marymoncie pod Warszawą instytut agronomiczny, w Warszawie szkoła leśna i szkoła wojskowa aplikacyjna [1]), w Kielcach górnicza. Za staraniem księcia Czartoryskiego kuratora i Tadeusza Czackiego, wizytatora szkół w Krajach Zabranych pierwszymi ogniskami nauki stały się tam Uniwersytet wileński i Liceum w Krzemieńcu. Uniwersytet wileński na nowo zorganizowany, podzielony na cztery wydziały (w r. 1803), stał na czele oświecenia ośmiu gubernii litewskich i ruskich, od Wilna do Kijowa, wykonując także władzę administracyjną i sądową. Wykładali na uniwersytecie znakomici profesorowie, którzy nietylko utrzymywali wysoko poziom wiedzy, lecz odznaczali się wielką swobodą myśli, jako też szczerem zamiłowaniem dobra publicznego. Działali i przewodniczyli w pracy obywatelskiej nawet profesorowie cudzoziemcy, jak Józef Frank, Groddek, Bojanus.

Największy wpływ wywierali: bracia Jan i Andrzej Śniadeccy, pierwszy matematyk i astronom († 1830), drugi chemik († 1838), Leon Borowski znakomity profesor wymowy i poetyki († 1846), który wykształcił cały zastęp poetów, pomiędzy nimi pierwszą gwiazdę poezyi polskiej, Adama Mickiewicza. Skupiali się przy uniwersytecie młodzi uczeni i literaci, a znakomity historyk, Joachim Lelewel († 1861) pomieszczał ich prace w redagowanym przez siebie „Tygodniku Wileńskim“. Czem dla Litwy był Uniwersytet wileński, tem dla Wołynia, Podola i Ukrainy było Liceum Krzemienieckie (od r. 1805—1833), które założył i uposażył uczony mąż Tadeusz Czacki († 1813). Tenże Czacki już dawniej założył był Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie (1800). Wsławiły się też na Rusi szkoły założone przez Bazylianów, zakonników ruskich, a głównie w Humaniu, Winnicy i Buczaczu. Oprócz wymienionych wyżej mężów słynęli poeci, utrzymujący nadal na stopie poważnej literaturę polską, która odrodziła się była za Stanisława Augusta. Byli to sławny już dawniej Julian Ursyn Niemcewicz († 1841); Jan Paweł Woronicz, biskup krakowski, w końcu arcybiskup warszawski, niezrównany kaznodzieja († 1829); Kazimierz Brodziński († 1835), autor rzewnego poematu p. t. „Wiesław“ w którym w ślicznych wierszach opisane jest życie wieśniaków krakowskich; ulubiony „poeta serca“ Franciszek Karpiński († 1825), którego znane pieśni nabożne są: „Bóg się rodzi“, „Kiedy ranne wstają zorze“, „Wszystkie nasze dzienne sprawy“; Antoni Malczewski († 1826), autor najpopularniejszego poematu polskiego p. t. „Marya“. Oprócz

---

[1]) Aplikacya, pilność; aplikacyjny, przygotowawczy.

formę. Chodzi o zruszczenie tej szlachty polskiej, którą tu w celach kolonizacyjnych wysyłano. Oto powstało w ostatnich tygodniach „Towarzystwo szlachty ruskiej,“ mające na celu „uświadomienie i podniesienie ruskiej szlachty zagonowej, którą niestety — (są słowa odezwy inicyatorów Towarzystwa) — mało dotychczas zajmowali się Rusini, a nawet ci, co wyszli z tej szlachty i wysokie nieraz zajmowali stanowiska nigdy czegoś ważniejszego dla niej nie zdziałali.“ Szlachty takiej jest około 50 tysięcy, rozprószonej w okolicach naddniestrzańskich. — Posiadają przywileje szlachty polskiej od polskich królów i przechowują je jako najświętsze relikwie. Jakkolwiek utrzymują ten sam tryb życia co włościanie, uważają się atoli za coś lepszego i z włościanami w stosunki nie wchodzą, pozostawieni sobie i sobą zajęci. Część ich używa wprawdzie języka ruskiego, ale większość i w domu i poza domem używa języka polskiego, a każdy wykształceńszy uważa się za Polaka. Dziś i do tych sfer zmierza nam wroga agitacya, miejmy nadzieję, bezskuteczna.

Lwów święcił dziś uroczyście otwarcie wystawy przyrodniczo-lekarskiej, która trwać będzie do połowy lipca. W czasie trwania wystawy odbędzie się zjazd przyrodników polskich i lekarzy — ale o tem wszystkiem już w liście następnym.

M. N.

Przegląd polityczny.

A więc druga *duma rosyjska* należy już do przeszłości. Że ją rząd rozwiąże, nie ulegało wątpliwości. Chodziło jedynie o termin. Przypuszczano ogólnie, że może nieprzyjęcie budżetu da zewnętrzny powód „konstytucyjnemu“ rządowi do „konstytucyjnego“ posłania posłów w domowe ogniska. Tymczasem rząd z carem na czele postanowił inaczej, tem bardziej, że koła przeciwne istnieniu dumy pchały coraz natarczywiej już nie do rozwiązania dumy, ale do rozbicia jej, a raczej krótko mówiąc do zamachu stanu.

Faktycznych powodów nie było, trzeba je było zatem wykombinować. Za parawan posłużyła akcya socyalrewolucyonistów, dążąca mniej lub więcej jawnie do zrewolucyonizowania w pierwszym rzędzie wojska, ostoi i dziś jeszcze absolutycznych zachcianek rządu i jego kliki. W zasadzie nie można nic mieć przeciw temu, iż rząd nie chce dozwolić, by między posłami były osobistości, które pod osłoną nietykalności poselskiej dążą do przeciwpaństwowych celów. W konstytucyjnych państwach stawia wówczas rząd wniosek, by odnośny parlament zezwolił na sądowe kroki przeciw danym posłom. I rząd rosyjski postąpił tak, stawiając powyższy wniosek. Postępowanie jego różniło się jednakże w tem, że nie dając posłom wogóle czasu i swobody do zbadania wniosku rządowego, czy też opiera się na rzeczywistych podstawach, zażądał natychmiastowego „wykluczenia wszystkich posłów rewolucyjnych“ z dumy, i równoczesnego pozwolenia wytoczenia procesu przeciw posłom socyalistycznym. Oczywiście szanujące się ciało prawodawcze nie mogło bez wszystkiego zgodzić się na to bezwzględne żądanie. Wszyscy posłowie, prócz posłów prawicy, byli przeciwni, żądając, by naprzód sprawę powyższą zbadała osobna komisya. Rząd na razie ustąpił; zgodził się na wybranie komisyi i dał jej „łaskawie“ 24 godziny, a następnie przedłużył jej czas do namysłu aż do 72 godzin. Był to jednakże manewr. Nie odczekawszy bowiem rezultatu badań komisyi, która

---

tych byli: Stanisław Staszic uczony minister i geolog [1]) († 1826), Jerzy Samuel Bandtkie, dyrektor biblioteki Jagiellońskiej († 1835), Samuel Bogumił Linde, autor znakomitego słownika języka polskiego († 1847), Józef Maksymilian Ossoliński († 1826), historyk i bibliograf, założyciel wielkiej biblioteki imienia Ossolińskich we Lwowie (1817).

Ruch umysłowy i polityczny panował tylko w Królestwie Polskiem i w Krajach Zabranych. W Księstwie Poznańskiem ustało prawie całkiem życie umysłowe, a namiestnik książe Radziwiłł tylko z trudnością bronił kraju przed naporem germanizacyjnym [2]). Tak samo było w Galicyi pod rządami Metternicha. Mimo tego odbyło się w tych czasach kilka miłych i rzewnych dla polskiego serca żałobnych obchodów narodowych. Oprócz wymienionego już przewiezienia z Warszawy do Krakowa zwłok księcia Józefa Poniatowskiego (r. 1817) a z Szwajcaryi Tadeusza Kościuszki (r. 1818) i złożenia ich na Wawelu, odbył się w Warszawie z wielkim objawem czci i żalu pogrzeb dwóch sławnych bojowników niepodległości polskiej, Henryka Dąbrowskiego († 1818) i Jana Kilińskiego († 1819). [3])

c. Nadużycia i samowola rządów.

Kiedy ludzie przypominali sobie Napoleona I i Kongres Wiedeński, a rozważali obecne zachowanie się rządów, to mówili sobie z goryczą:

— Napoleon miał być „ciemięzcą“, a my po Kongresie Wiedeńskim i po „Świętem Przymierzu“ znosimy teraz jeszcze sroższy ucisk i niewolę!

— Gdzież te przyrzeczone rządy konstytucyjne, czy może mają je Niemcy, Włosi i Polacy, te ludy rozdarte i czy nie pokrajano ich ziem znowu na części?

Takie zdania i myśli szerzyły się w całej Europie a w następstwie tego powstawać poczęły przeciwko rządom

---

[1]) Geologia, z greckiego, nauka o przyrodzie ziemi i jej części składowych, o ich rozwoju i właściwościach.

[2]) Zrazu w polityce pruskiej powstała myśl, aby Poznańskie uczynić środkiem ciążenia narodowego, ażeby pozyskać Polaków, a osłabić wpływ Rosyi. Jenerał Amilkar Kosiński, dawny legionista, teraz naczelnik siły zbrojnej, który to urząd przyjął pod warunkiem, że Poznańskie zachowa zupełny samorząd narodowy, zwracał uwagę rządu na ważność Księstwa Poznańskiego pod względem strategicznym i takie czynił przedstawienia:

— To z państw rozbiorowych zdoła pociągnąć Polaków, które uszanuje świętość traktatów i obietnic. Austya zapomniała o tem, Rosya łudzi tytułami, rząd pruski więc powinien trzymać się traktatu i obietnicy królewskiej i zrzec się polityki półśrodków.

I rzeczywiście ustało wahanie się rządu, ale zaczęła się na nowo germanizacya. Wprowadzano systematycznie język niemiecki w wojsku, administracyi, sądach i szkołach. A sama przecież Regencya Poznańska przyznawała, że nie było nic do zmienienia w wybornym systemie edukacyjnym z czasów Komisyi edukacyjnej, w tych szkołach, których po Księstwie Warszawskiem odziedziczyło Księstwo Poznańskie 790, z 884 nauczycielami a 31,000 uczniami. Prusy Wschodnie otrzymały wtedy pierwszą szkołę wyższą katolicką w Chojnicach. — Rząd pruski, który w patencie okupacyjnym użalał się nad niedolą kraju, pomnożył w nim podatki i rozłożył nań długi, których Poznańskie wcale nie zaciągało i korzyści żadnych z nich nie miało. Schlebiał rząd szlachcie, podniecał w niej próżność, rujnował ją zachęcajac do życia wystawnego, ułatwiał przechodzenie dóbr ziemskich w ręce niemieckie. A przed tąż szlachtą brał w obronę włościan i uprzedzając ją dnia 8 kwietnia 1824 r. dokonał uwłaszczenia włościan, którzy ten czyn uważali za dobrodziejstwo rządowe. Nie przeszkadzało to rządowi zakazać całkiem ludowi śląskiemu odbywać pielgrzymki do Częstochowy. — Limanowski, 91—93; Morawski, II, 228, 229.

[3]) Lewicki, 422—425; Limanowski, 95, 96.

po skrupulatnem przestudyowaniu materyału uznała, że 7 posłów dostatecznie było obciążonych, by można ich wydać władzom sądowym, rozwiązał, a raczej rozbił rząd dumę w nocy z soboty na niedzielę.

Czytając manifest, a raczej ukaz carski podpada przedewszystkiem jedno, że mimo konstytucyi car uważa się jeszcze dziś samowładcą rosyjskim, powołującym się na *historyczną władzę cara rosyjskiego.* Na mocy tej historycznej władzy zmienia on w przeciwieństwie do praw zasadniczych państwa rosyjskiego samowładnie ordynacyę wyborczą, by stronnictwom rządowym ułatwić zdobycie większości.

Manifest carski zwraca się, abstrahując od zapowiedzi zmiany systemu wyborczego, przeważnie przeciw *Polakom.* Rząd bowiem nie mógł obojętnym patrzeć okiem na to, że przedstawiciele sto lat przeszło gnębionej Polski tak wybitnie produktywne w dumie zajmowali stanowisko. Koło Polskie było rządowi żywem przypomnieniem całowiekowych cierpień i mąk narodu polskiego. Koło Polskie zdobywając sobie uznanie taktownem i zgrabnem swem postępowaniem nie tylko w całej Europie, lecz i w społeczeństwie rosyjskiem, musiało gniewać rząd, który nie tak dawno jeszcze, — zaprowadzając po raz wtóry stan wojenny w Królestwie — z emfazą głosił, że Polska, usposobiona rewolucyjnie, wrogie ma zamiary wobec rządu i narodu rosyjskiego. Te wszystkie kłamstwa i brednie rządowe okazały się obecnie bezpodstawnemi. Tak Europa, jak przedewszystkiem społeczeństwo rosyjskie, a i ta część naszego, która nie podzielała politycznych zapatrywań obecnego Koła przekonała się powoli, że Koło stało na wysokości swego zadania, że umiało wyzyskać każdą sytuacyę, że zdołało wymagania i interesy polskie umiejętnie pogodzić z istotnemi interesami narodu, a nawet rządu rosyjskiego.

Ta siła, zdolność i umiejętność polityczna przedstawicielstwa polskiego uwydatniała się szczególnie wówczas, gdy ważne wnioski rządowe stały na porządku dziennym, a ich przyjęcie było niepewnem. Wówczas decydowało Koło Polskie. Koło Polskie było przecież tym czynnikiem, dzięki któremu uchwalono n. p. kontyngent wojskowy. — By siłę tę i powagę Koła sparaliżować, unicestwić, raczył car postanowić, by i tak już ograniczoną liczbę posłów z Królestwa (obecnie było 37, a powinno być 47) zmniejszyć do *14!* Z tych 14 ma jednakże być 3 Moskali, i to po jednym z gubernii siedleckiej i lubelskiej, trzeciego zaś wybiera we Warszawie aż 20 (!) wyborców rosyjskich.

Rosya i Królestwo przyjęło na razie wyrok ów carski z milczącym spokojem, mimo iż rząd obawiając się rozruchów ściągnął do stolic masy wojska, a pozatem obostrzył przepisy prasowe i ukrócił swobody obywatelskie. Spokój ów jednakże wydaje się spokojem przed burzą. Nie ulega bowiem wątpliwości, że koła rewolucyjne wyzyskają obecną sytuacyę dla swoich celów. I znowu rozpocznie się era terorystycznych działalności. I nikt dziś z pewnością powiedzieć nie zdoła, czy era ta nie zmiecie manifestu carskiego i jego wykonawczych nakazów. Wiadoma rzecz, że rząd wówczas jedynie ustąpił, gdy czuł się słabym i niezdolnym do walki z rewolucyą. Dziś czuje on się silnym. Inna rzecz, czy się nie myli. A wówczas doczekamy jeszcze burz, które wstrząsną Rosyą tem silniej, im dłużej stan obecny trwać będzie.

A *Królestwo?* Nie przesądzamy, jakie wobec manifestu carskiego zajmie stanowisko. Obelgą, rzuconą sobie w twarz, sądzimy, nie da się porwać do czynów szkodliwych interesom naszym. Z drugiej zaś strony, zdaje nam się, że ogólny podniesie się w Królestwie protest przeciw pokrzywdzeniu go w prawach obywatelskich.

---

coraz liczniejsze spiski i tajne stowarzyszenia. I tak związki mające pierwotnie cele ogólno-ludzkie, a więc nie zabraniane przez rządy, związki t. zw. Wolnych Mularzy czyli *Masonów* [1]) i Węglarzy czyli *Karbonaryuszów* [2]) przybrały teraz charakter polityczny. Spiskowcy wzniecali powstania, szczególnie we Włoszech i w Hiszpanii i dopuszczali się ważnych morderstw politycznych, jak poety niemieckiego Augusta Kotzebuego, który był szpiegiem rosyjskim, tudzież francuskiego członka dynastyi, księcia Berry. Więc znowu wysłańcy rządów a zwłaszcza państw „Swiętego Przymierza“ zjeżdżali się i porozumiewali między sobą, szukając ratunku przeciwko „burzycielom porządku“. Takie zjazdy urządzał głównie austryacki minister ks. Metternich: w Karlsbadzie (r. 1819), gdzie postanowiono zaprowadzić wszędzie ścisłą cenzurę druków, poddać pod nadzór rządów uniwersytety i nie dopuszczać konstytucyi reprezentacyjnych; w Opawie (r. 1820), w Lublanie (r. 1821), gdzie polecono Austryi stłumić przemocą rewolucyę we Włoszech; w Weronie (r. 1822), gdzie podobnie polecono Francyi uczynić z rewolucyą hiszpańską.

W tych wszystkich zjazdach i postanowieniach brał czynny udział cesarz Aleksander, a to wpłynęło bardzo niekorzystnie na położenie Królestwa Polskiego. Z obawy przed rewolucyonistami zmienił się car i stłumił w sobie dawne swoje wolnomyślne dążenia. Teraz też stanął przed nim głośny historyk rosyjski Karamzyn i w przedstawionym memoryale dowodził:

— Najjaśniejszy Panie, Rosya ma prawo posiadać Polskę w zupełności, ponieważ ją zdobyła, a naprawianie rozbioru Polski jest rozbiorem Rosyi!

Więc też Aleksander zarzucił myśl przyłączenia do Królestwa Zabranych Krajów, konstytucyjny król polski wystąpił nagle jako car samowładny, a w odpowiedzi jego na ostrożny i oględny adres [3]) Polaków z pierwszego sejmu zabrzmiał surowy, ostry ton:

— Konstytucya wasza jest moim darem i łaską, którą w każdej chwili odbiorę! Wam wolno na sejmie wypowiadać swe zdania tylko w tych przedmiotach, które mój rząd przedstawi!

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Wolnomularstwo, z francuzkiego *masoneryą* zwane, były to szeroko rozpowszechnione szczególniej w Anglii towarzystwa tajne, których celem budowanie t. j. moralne podniesienie i ściślejsze braterskie połączenie ludzkości. W każdym szanowało wolnomularstwo tylko człowieka bez różnicy stanów, urodzenia, zajęć, zawodów, religii. Pragnęło ono wznieść się wyżej ponad wszelkie przedziały między ludźmi i żądało, by członkowie wszystkich państw, kościołów i religij szanowali się i kochali jak bracia. — Encyklop. Orgelbranda.

[2]) *Karbonaryzm* (z włosk. Carbonari, węglarze), tajne polityczne stowarzyszenie we Włoszech powstało w Neapolu. Od węglarstwa przejęli karbonaryusze swe obrządki. Zajmowali się czyszczeniem lasów od wilków, czyli walką przeciw tyraństwu. Zgromadzali się w chatach, których wnętrze zwało się targiem węgla. Pewna wspólność łączyła karbonaryzm z wolnomularstwem. Po r. 1820 stał się francuskim i miał główne swe ognisko w Paryżu. — Encykl. Orgelbranda.

[3]) Adres, z franc., oprócz wymienionego na kopercie listu nazwiska odbiorcy i miejsca jego zamieszkania, oznacza: pismo winszujące lub dziękczynne, prośbę, odpowiedź sejmu na mowę panującego.

Objawi on się zapewne, a naszem zdaniem i najlepiej w tem, że Królestwo zbojkotuje wybory.

To jedno należy i tu w obec tryumfującej prasy niemieckiej podkreślić, że Królestwo nie da się wyrwać z drogi legalnej walki o swe prawa. Nie pójdzie ono w żadnym razie bezwzględnie za głosami rewolucyjnej Rosyi. Interesa polskie będą mu najwyższym i jedynym probierzem dalszej jego polityki. Za możliwe zaś czyny „rewolucyonistów" polskich, nie weźmie na siebie odpowiedzialności, chociażby dla tego, że „ci ludzie" są nam obci nietylko ciałem, lecz i duchem, obci zupełnie, stojący po za nawiasem społeczeństwa polskiego, jego pragnień, dążeń, a i rozczarowań i cierpień.

Wobec obecnej sytuacyi w Rosyi, grążącej nowemi wstrząśnieniami, na plan drugi schodzą inne sprawy. I tak nie można powiedzieć, by *konferencya pokojowa w Haagu* wielkie w świecie wywarła wrażenie. Pierwsze posiedzenie zajęło zaledwie godzinę. Wybrano na nim po kilku przemówieniach na przewodniczącego konferencyi rosyjskiego ambasadora w Paryżu *Nelidowa*. Ironia losu chciała, że konferencyą otworzono wówczas, gdy dumę rozpędzono. Trzeba bowiem wiedzieć, że car i tym razem prócz prezydenta stanów amerykańskich *Roosevelta* był zwołującym. Ironia losu chciała też, że temu „pokój miłującemu" carowi zebrani dyplomaci wysłali dziękczynną depeszę, w której gorące składają hymny carskiej humanitarności. Ironia ta nie byłaby pozbawioną pewnej dozy humoru, gdyby nie to, że po za nią, a raczej w niej samej nie pokoju, lecz wojny tkwią zarodki.

Już w poprzednim numerze zwracaliśmy uwagę czytelników naszych na faktyczną bezowocność całej konferencyi wobec biegunowo sprzecznych interesów poszczególnych państw. Co najwyżej jej dodatnie rezultaty tyczyć będą złagodzenia zwyczajów wojennych, większego uszanowania własności prywatnej itd.

O *powszechnem rozbrojeniu* mowy wogóle być nie może, i w tym przypadku zadowolą się delegaci mniej lub więcej szczęśliwą formułką, która nikogo nie uszczęśliwi, lecz i nie urazi.

Nie nadszedł bowiem jeszcze czas, by ludzkość mogła na pokojowej drodze załatwiać swoje zatargi. Zbyt jeszcze rozbieżne są nietylko interesy ludów i państw, lecz i ich charaktery, by mogły się poddać wyrokom sądów rozjemczych. By ta szczęśliwa nadeszła chwila, trzeba jeszcze lata długie czekać; trzeba by kultura nasza wysubtelniała, by nie była hasłem egoizmu brutalnego, lecz podstawą wszechludzkiej spójni.

I właśnie dla tego, że dążyć ludzkość winna, by z dziedzin swej działalności wyplenić nienawiść, zaborczość i wojnę, witać trzeba te pierwsze kroki stawiane na drodze pokojowej z szczególnem uznaniem. — Jeżeli jednakże dziś w jej skutki trudno uwierzyć, jeżeli dziś sceptycznie na jej działalność się patrzy, dziwić się temu nie można. Kierują nią bowiem ludzie, którzy najmniej mają danych, by brać w niej udział. Ten car, który z jednej strony gnębi swoich poddanych, chce wmówić w ludzkość, że on chce jej dobra, że chce by na świecie nie lała się krew. A morze krwi wylała już Rosya i wyleje jej jeszcze wiele, nim car zrozumie, że pierwszym warunkiem szczęśliwości i pokoju ogólnoludzkiego jest zadowolenie, szczęście i spokój własnych poddanych.

Nie wiadomo też, czy błogich dyskusyi delegatów pokojowych nie przerwie wystrzał armatni, zwiastujący wojnę między *Japonią* a *Ameryką*. Mimo, że obydwa rządy nie pragną w najbliższym przynajmniej czasie wejść ze sobą w wojenną rozprawę, trudno przewidzieć, czy opozycya japońska nie zmusi rządu japońskiego do

---

Jadwiga z Z. S.

Joachim Lelewel.

4.

Lelewel gorąco pragnął zostać profesorem historyi.

A ponieważ w roku 1804 otwarto w Wilnie uniwersytet, więc tam pojechał Joachim jako młody 18-letni pracownik i zaczął równocześnie już pisać poważne dzieła.

Profesorowie w Wilnie życzliwie przyjęli w swoje grono młodego nauczyciela.

Praca ta jednak nie była stałą.

Lelewel opuszczał parę razy Wilno, był w Krzemieńcu, potem w Warszawie, aż dopiero roku 1822 otrzymał Lelewel posadę profesora historyi w Wilnie.

Na wieść o tem, iż Lelewel rozpocznie wykładać historyę, takie tłumy zaległy dziedziniec przed uniwersytetem, i tak zaczęły wołać: sali! sali! większej sali! iż rektor kazał otworzyć największą salę jaka była, ażeby słuchacze mogli się zmieścić.

Lelewel wystąpił... rozpoczął wykładać...

A między słuchaczami stał blady, wzruszony, z oczyma w Lelewela utopionymi, młody profesor, Mickiewicz, który umyślnie z Kowna do Wilna przyjechał, ażeby słyszeć wykład Lelewela...

Wrażenie wykładu było niezmierne

Ludzie jeszcze nigdy nie słyszeli tak pięknie wyśpiewanej, tak misternie rozsnutej pieśni historyi... Trzeba było mistrza, ażeby wziął w swe ręce starą pyłem wieków okurzoną przeszłości kartę i począł z niej opowiadać prawdy dziejowe.

Mickiewicz zachwycony, napisał na drugi dzień ów prześliczny wiersz „Do Jaochima Lelewela," z którego wyjątki czytaliśmy na wstępie, który zaczynał się od słów następujących:

— O! długo modłom naszym będący na celu,
— Znowu do nas koronny znijdziesz Lelewelu!
— I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
— Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.

Rozpoczęła się piękna, pogodna karta życia.

Lelewel otoczony gronem najszlachetniejszej młodzieży, Lelewel piszący wspaniałe dzieła, Lelewel jako redaktor gazety polskiej, słowem wszędzie, gdzie praca narodowa, poważna i szlachetna, tam młody profesor z uczniami swymi...

Istniały wtedy tajne związki narodowe na Litwie, które starały się doprowadzić do tego, ażeby wśród klęsk i prześladowań, duch narodu nie przygasał w zwątpieniu.

Istniał wtedy tak zwany związek Filaretów, czyli przyjaciół cnoty. Związek ten był założony przez Mickiewicza i jego przyjaciela Zana. Związek ten, chociaż tajny, nie miał żadnego zbrodniczego celu, owszem najszlachetniejsze miał i zamiary i drogi.

Chciano rozgrzać serca młodzieży, zachęcić do szerzenia oświaty, skłonić do prawego postępowania w życiu....

Profesorowie w Wilnie wiedzieli o tych związkach i uznawali taką organizacyę bardzo dobrą, bo podnosiła ducha i dopomagała szerzeniu oświaty.

Lecz nagle stała się rzecz straszna.

W dniu 3-go maja 1823 roku, uczeń 5-tej klasy gimnazyum w Wilnie, Michaś Plater, napisał na tablicy:

— Niech żyje Konstytucya 3-go maja!...

wojny. Japończycy czują się bowiem w swej dumie narodowej dotknięci ubliżającem traktowaniem swoich rodaków w Kalifornii. Ludność tamtejsza zagrożona konkurencyą zapobiegliwych i pilnych „żółtych dyabłów“ napadami i gwałtami okazała wobec nich swą głęboką niechęć; lokalne rządu wydały ograniczenia tyczące Japończyków. Oczywiście konflikt był gotów. Na razie załatwiono go polubownie. Mimo to niechęć trwa i pogłębia się coraz silniej. Szczególnie Japończycy, dumni i upojeni swojem zwycięstwem nad Moskalem, pchają do wojny, temwięcej, że uśmiechają im się jako wspaniała zdobycz wyspy filipińskie.

I pewne Japonia ma dziś wszelkie dane, by tanim kosztem zdobyć nowe kraje tak potrzebne jej wobec silnego przyrostu ludności. Ameryka nie zdołałaby przeciwstawić dziś wobec niewykończonego kanału panamskiego silnej flocie japońskiej odpowiedni szereg okrętów. Pozatem dzięki traktatom z Anglią, a i z Francyą (ostatni z tego miesiąca) ma Japonia zupełną swobodę, a i pewność, że żadne mocarstwo nie wejdzie jej w tyły. I pewne, że rząd japoński ryzykowałby wojnę, gdyby były i odpowiednie pieniądze. A tych Japonii brak, a brak ten dałby się w czasie wojny tembardziej odczuć, że dotychczas dostarczyły ich przeważnie rynki amerykańskie. Sytuacya jest w każdym razie groźna, a wobec obecnej konferencyi pokojowej bardzo charakterystyczną.

Niemcom przyniósł ostatni tydzień znów klęskę dyplomatyczną. Powstało nowe *trójprzymierze* angielsko-francusko-hiszpańskie, z którym sympatyzują oczywiście i Włochy. Wobec tej konstelacyi, która ma na celu gwarancyą posiadłości danych mocarstw na morzu śródziemnem, Anglia mogłaby w razie konfliktu z Niemcami najspokojniej całą swą flotę morza śródziemnego przerzucić na morze północne. Wiedzą o tem dobrze Niemcy. To też nader zimno traktują nowe przymierze, nie wspominając oczywiście nic o tem, że przymierze jest ich klęską.

Austrya w nową rozwoju swego wstąpiła fazę. W ubiegły poniedziałek zebrał się nowy parlament austryacki. Mówiliśmy i pisaliśmy obszernie o wyborach w Austryi, a szczególnie w Galicyi. Koło Polskie nie licząc ludowców liczyć będzie 56 członków. 16 ludowców nie wstąpiło na razie do Koła; oświadczyli jednak gotowość porozumiewania się we wszelkich sprawach narodowych, społecznych i ekonomicznych z Kołem.

Zdemokratyzowany i zradykalizowany obecny parlament poświęci niewątpliwie pierwsze swe czyny polepszeniu bytu sfer zależnych. W pismach poszczególnych stronnictw austryackich czytać codziennie możemy o nowych wnioskach, interpelacyach i innych zamiarach, które z łaski posłów uszczęśliwić mają ludy austryackie.

W tej walce, konkurencyjnej poszczególnych grup i partyi politycznych, zdaje się, i tym razem mimo mniejszej liczby *Koło Polskie* wybitną grać będzie rolę. I ono wchodzi zdemokratyzowane do gmachu parlamentarnego. Niewątpliwie da się ten przypływ świeżych i młodych sił dodatnio odczuć w życiu Koła Polskiego szczególnie dla bezpośredniego dobra Galicyi, a pośredniego i całej Polski.

Za to aresztowano chłopaka.

Zjechał do Wilna na śledztwo Nowosilców.

Litwa jękła w płaczu...

Krzywda straszna i bezlitośna rozpostarła swe szpony nad całym krajem.

Ośm klasztorów w Wilnie zamieniono na więzienia, a w więzieniach tych osadzono setki młodzieży litewskiej...

Okropny ten obraz męczeństwa opisał Mickiewicz w „*Dziadach*.“

Wtedy też zamknięto uniwersytet w Wilnie, a Lelewelowi odebrano tytuł profesora i kazano wyjechać.

Tak skończyła się praca młodego historyka, praca jako profesora.

Chwile spędzone w Wilnie, były może w życiu Lelewela najjaśniejsze.

Odtąd zaczyna się wśród trudu i mozołu praca historyka i obrońcy wolności.

5.

Sześć lat przebył teraz Lelewel w Warszawie. Trzeba by napisać dużą książkę, ażeby opowiedzieć co pisał Lelewel i jakie ważne i wielkie prace spełniał.

Z rozlicznych pism i prac, najważniejszem dziełem jest napisana książka pod tytułem: — *Dzieje Polski potocznie opowiedziane.* — Książeczka ta była wydana w 29-tym roku w Warszawie, potem 10 razy drukowano ją. W Brukseli, w Wrocławiu, Lwowie i w Warszawie wydawano to dzieło.

Była to historya napisana w zupełnie nowy sposób. Lelewel podzielił ją na pięć głównych części:

— Polska w podbojach.
— Polska w podziałach.
— Polska kwitnąca.
— Polska upadająca.
— Polska odradzająca się.

Ostatnia część, Polska odradzająca się została napisana później.

Historyę tę także przetłumaczono na język francuski, a w dwa lata na język niemiecki.

W tym czasie, Warszawa ogromnie wiele cierpiała z powodu tego, iż władzę nad nią miał Wielki książę Konstanty, człowiek w pół obłąkany w napadach gniewu, człowiek, który był katem i tyranem dla wszystkiego, co jest i śmie być polskie lub o Polsce myśli, mówi lub nawet tylko wspomina.

I najnędzniejszy robak deptany nogą, jeszcze się zwija i kurczy, jeszcze chce się bronić i pragnie żyć.

A czyż naród nasz, prześladowany i gnębiony bezlitośnie mógł bez oburzenia cierpieć tyle krzywd i żyć bez myśli bronienia się? Litwę prześladował Nowosilcow. Na Rusi był ucisk religijny. Przepełniła się czara łez niedoli i naród broń podniósł.

Dzień 29 listopada 1831 roku wyznaczono na zdobycie Belwederu.

Wojska rosyjskiego w Warszawie nie było wtedy wiele. Ogółem znajdowało się tylko 6 500 ludzi. Zaś polskiego wojska było ogółem 8,000 ludzi.

Obmyślano plan dokładnie, a do kierowania powstaniem wybrano tak zwany „*rząd tymczasowy*“, zaś do rządu tego wszedł także i Lelewel.

Trzeba zrozumieć, iż praca w „rządzie tymczasowym“ nie była łatwa. Jedni chcieli zanadto otwarcie postępować, drudzy zanadto prędko. Chwila była ważna, zapał ogarniał ludzi, należało działać bardzo roztropnie.

Przegląd prasy.

Omawiając w ostatnim „przeglądzie politycznym“ położenie w Królestwie, zwróciliśmy uwagę czytelników naszych na smutny objaw walki przeciw tamtejszej Macierzy Szkolnej. Nikt lepiej nad nas tu pod zaborem pruskim nie odczuwa potrzeby *narodowej* oświaty. To też zazdroszcząc braciom naszym pod zaborem rosyjskim swobody rozwijania instytucyi tak błogiej i kulturalnej, jaką jest *Polska Macierz Szkolna*, ze zdziwieniem wyczytaliśmy, że sfery kościelne — ks. biskup *Zdzitowiecki* z Włocławka i ks. administrator *Antonowicz ze Sejn* — wystąpili przeciw niej jako instytucyi „bezwyznaniowej“.

Nie poruszalibyśmy przykrej tej sprawy, tem więcej, że będąc czysto wewnętrzną sprawą Królestwa, dostatecznie wyjaśnioną tam została.

Mimo to podajemy ustęp z „odezwy Macierzy“. Raz dla tego, że wobec napaści tutejszego *„Dziennika Poznańskiego,“* oczerniającego „Macierz“ o bezwyznaniowość, uważamy za konieczne wykazać całą obłudę powyższego pisma, a powtóre, by czytelnikom naszym dać w obecnych naszych zawikłanych szkolnych stosunkach jasny, pogląd jak *polska* władza szkolna zapatruje się na *zadania szkoły*:

„W poczuciu, że praca, którą podejmujemy wszyscy, łącząc się w Koła Macierzy, doniosłem i pełnem jest odpowiedzialności zadaniem, Zarząd Główny pragnie podkreślić jeszcze te wskazania, jakiemi od początku kierowała się Instytucya i którym służyć wytrwale i niepodzielnie powinna.

Wychowanie młodzieży, aby czyniło zadość istotnej potrzebie oświaty i postulatom narodowego ducha, winno oprzeć się o trzy naczelne zasady:

— Winno mieć ono *religijną i moralną podstawę*. —

— Winno uczyć pracy, dać jej zamiłowanie i zwyczaj. —

Uznając *pierwiastek religijny* za istotną potrzebę duchową, uważając go również za jeden z zasadniczych czynników narodowego wychowania, Polska Macierz Szkolna dążyła zawsze do wyznaczenia zasadzie tej w kształceniu młodych pokoleń stanowiska zgodnego z tradycyą i wiarą naszego Narodu.

Pogląd na sprawę tę zaznaczyliśmy wyraźnie, że wspomnimy tu tylko o naszym okólniku zalecającym Kołom, aby starały się o pozyskanie kapłanów na prowadzących wykład religii w szkołach ludowych. Stanowisko to nasze niedwuznacznie uprawia nas do wypowiedzenia przekonania, *że zarzuty, jakoby Macierz dążyła do ugruntowania u nas szkoły bezwyznaniowej, lub do zamglenia pierwiastku religijnego w wychowaniu, na nieporozumieniach jedynie, lub nieznajomości stanu rzeczy, oparte być mogą*.

Naszym zarządom okręgowym i Kołom najlepiej wiadomo, że jesteśmy dalecy od umniejszania *znaczenia nauki religii w szkołach*, przeciwnie, gorliwie pragniemy zabiegać o najlepszy i najbardziej trafiający do dusz dzieci i dorosłych wykład tego przedmiotu. Tak samo wszędzie, gdy chodzi o naukę, baczymy, *aby wykład żadnej gałęzi wiedzy nie podkopywał uczuć wiary* w sercach słuchaczów. Stanowisko zarządu głównego jest pod tym względem niezmiennem w przekonaniu wytycznem i nadal, jak dotychczas, zalecamy naszym Okręgom i Kołom, aby usilnie pracowały nad rozwijaniem umysłów, pogłębianiem charakterów młodzieży i rozwojem jej *uczuć religijnych i moralnych* — taki bowiem kierunek wychowania wyrobi dzielnych duchem pracowników na niwie ojczystej.

Stojąc więc silnie na gruncie wychowania narodowego *w zasadach religijnych*, zastrzedz się jednak wyraźnie pragniemy przeciwko nadaniu szkole charakteru *wyłącznego* w tym względzie i oświadczamy, że na tę drogę Instytucyi naszej zwrócić nie będziemy chcieli.

Polska Macierz Szkolna jest instytucyą dla całego narodowo czującego społeczeństwa, a jako taka

---

Znaleźli się w Warszawie niektórzy, co zaczęli narzekać na Lelewela, iż nie dość gorąco sprawę powstania prowadzi.

Ale człowiek ten od książek oderwany, od cichej i żmudnej pracy badacza kronik starych, powołany do kierowania w narodzie, nie mógł się stać od razu dzielnym żołnierzem i dowódcą powstania.

Imię Lelewela było tak znane i tak poważane, iż niemal każde słowo przez niego wypowiedziane miało wpływ wielki.

Sama postać znanego historyka miała tak działać, iż na kogo on spojrzał swemi pogodnemi oczyma, ten już zaczynał go kochać i słuchać.

Więc wpływ Lelewela w „rządzie tymczasowym“ był wielki, a w niejednej trudnej sprawie głos jego decydował, tak czy inaczej trzeba postąpić.

W sam dzień 29-go listopada, kiedy się taka ważna i wielka chwila miała zdecydować w Warszawie — rozpoczęcie powstania — w ten sam dzień Lelewel traci ojca.... I kiedy do trumny ojca woła go obowiązek syna — do pracy w obec budzącej się Ojczyzny — woła go obowiązek Polaka.

Lelewel wziął udział w delegacyi, która 2-go grudnia pojechała do Wierzbna.

Wielki Książę Konstanty wypędzony z Warszawy, przelękniony i niespokojny tulił swe wspaniałe cielsko w izbie brudnej karczmy.

— Te Polaki!... Te zbóje!.... te buntowczyki!.... — wołał klapiąc zębami, straszny książę — a tu zawiadamiają:

— Delegacya z Warszawy chce się widzieć.

Wprowadzono czterech wybranych, najbardziej zaufanych ludzi:

— Czartoryski, Lubecki, Ostrowski i Lelewel.

Pięć godzin radzono w Wierzbnie z Wielkim Księciem Konstantym.

Wreszcie uchwała następująca została podpisana:

— Wielki Książę może wracać do Rosyi, nie zatrzymają go Polacy, ale niech wypuści wszystkich uwięzionych w Polsce i niech da amnestyę wszystkim prześladowanym.

Umowa ta nie była dobra dla powstania. Więc potem niejedni mieli żal do Lelewela, iż on ją podpisał.

Lelewel jednak nie z braku miłości dla Ojczyzny to zrobił, lecz więcej dla tego, iż chciał zyskać ułaskawienie dla wielu więzionych i prześladowanych.

6.

Warszawa pod bronią.

Na ratuszu zawieszony *„Biały orzeł“*, a pod nim napis:

„Witaj jutrzenko swobody,
„Za tobą nadziei słońce!....

Chłopicki ogłoszony dyktatorem, a po kraju wzdłuż i wszerz płynie wieść — „do broni, bracia!“

Lelewel odłożył stare kroniki i księgi historyczne. Odłożył tę piękną arfę dziejowych wspomnień, na której umie grać, jak nikt dotąd nie grał.

Zejdźcie teraz z przed myśli jego, ukochani nasi Piastowie, o których on prawi wiele i których on nam maluje tak wyraźnie i jasno, iż zdaje się, żywi stają przed oczyma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

obejmuje ona opieką swą wszystkich synów Ojczyzny, bez względu na to, do jakiego zaliczają się wyznania — uważa tedy za swój obowiązek zadosyćuczynienie *uczuciom i myśli religijnej wszystkich wyznań*. Jedynie stanowisko szerokiej, bezwzględnej *tolerancyi*, tak zgodne z duchem największych chwil naszej przeszłości, przystoi Polskiej Macierzy Szkolnej, jako pracującej dla przyszłości, dla istotnego rozrostu sił i duchowego odrodzenia Narodu. A odrodzenie to począć się musi ze *wspólnej* wielkiej pracy".

* * *

Rozwiązanie dumy i ograniczenie swobód obywatelskich Polaków przyjęła prasa polska z godną powagą:

„Goniec" warszawski kończy artykuł swój „historyczny dzień," omawiający powyższy wypadek, następującemi słowy:

„Spadł na nas cios ciężki. Tylko bezmyślna fanfaronada mogłaby temu przeczyć. Ale istotne warunki naszej przyszłości nie polegają na liczbie mandatów, przyznanej nam przez tę lub inną ordynacyę, nie polegają na *udziale* naszym w Izbie państwowej a nawet na *realnym* wpływie, który posłowie nasi mogliby tam uzyskać. Kto w przyszłość tę wierzy, ten musi zaapelować do wyższych i szlachetniejszych pierwiastków duszy zbiorowej, do tych sił, któremi po wszystkie czasy narody żyją, rosną i któremi się odradzają".

Jedynie mianujący się europejskim organem *„Dziennik"* tutejszy uważał za konieczne w partyjną bawić się politykę, w politykę szkalań i — niedorzeczności. On jedyny wynalazł winnych rozwiązania dumy. A są nimi oczywiście posłowie polscy, ponieważ byli narodowymi demokratami i nie słuchali „dobrych i ostrzegawczych" rad naczelnego redaktora *„Dziennika"*. Pisze on p. t. „Kto zapłaci koszta" między innemi:

„Kto zapłaci koszta rozwiązania Dumy?

Jak tylko ogłoszone zostanie nowe prawo wyborcze, dowiemy się pewno wyraźnie, że całe koszta rozwiązania Dumy, poniesiemy my Polacy a zarazem głó–nie ci, co prowadzili naszą dumską politykę tn. narodowi demokraci, z p. Dmowskim na czele. Ha! wszak oni najbliżej byli wielkiego dzwona i powinni byli wiedzieć, na co się zanosi i co się święci.

Tymczasem nieraz i tak bywa, że z daleka stojący lepiej wiedzą i osądzić mogą rzecz, jak jednostronnie zaangażowani. Dla tego mieliśmy prawo nie tylko krytykować, ale i ostrzegać, jak to niejednokrotnie czyniliśmy. Sprawdziło się niestety wszystko, co nasze przestrogi zawierały.

Ciężko będzie prawie równocześnie płacić koszta w dwóch tak trudnych sprawach. Powinni to przedewszystkiem wziąć na uwagę ci, co zawsze najbardziej są gotowi do „rządzenia" krajem i umysłami, a całkiem nie posiadają zmysłu politycznego, odpowiedniego dla takiego stanowiska.

Niedawno bardzo się u nas zajmowano sprawą: Kto zapłaci koszta strejku szkolnego, a przecież jasne jak na dłoni, że główne koszta zapłaciliśmy i zapłacimy my, pocieszając się moralnemi zwycięstwami, które są może niewątpliwe, ale nikłe (!) w porównaniu ze stratami."

Nie naszem zadaniem bronienie demokracyi narodowej wobec powyższych zjadliwych i wprost niedorzecznych uwag.

Charakteryzują je zresztą najlepiej uwagi tutejszego hakatystycznego „Tageblattu", który przyznając uwagom „Dziennika" słuszność drwi sobie mimoto z niego przypominając mu, że były czasy, w których chwalił powodzenie demokratów narodowych, a teraz w nieszczęściu, spycha winę na nich.

O stanowisku i działalności *Koła* w dumie piszemy na innem miejscu. Tu chcielibyśmy jeszcze na zakończenie przytoczyć zdanie „Kuryera Poznańskiego". Daje on w artykule „Koło Polskie w drugiej dumie" bardzo dobrą odpowiedź wszelkim tym, którzy na wzór „Dziennika" dla Koła nie mają nic prócz zjadliwej nienawiści:

Pisze on:

„Układ stronnictw w izbie państwowej był tego rodzaju, że zapobieżenie katastrofie względnie umotywowanego rozwiązania dumy leżało właśnie w rękach Koła Polskiego, które też kilkakrotnie uratowało byt izby. Tym sposobem torowało zarazem Koło Polskie drogę do pozytywnej pracy ustawodawczej. Jednem słowem rozkład sił partyjnych w dumie stworzył nader korzystne dla posłów polskich *warunki zewnętrzne*, wysunął Koło Polskie na wybitne, na *decydujące w najważniejszych momentach stanowisko*.

Oczywiście Koło nie byłoby się mogło ani 24 godzin utrzymać na tem wpływowem stanowisku, gdyby z korzystnymi warunkami zewnętrznymi nie były się skojarzyły *wewnętrzne przymioty Koła*, które kadeci z oficyalnej mównicy wszystkim przedstawicielom Rosyi wyraźnie stawili za wzór i które — rzec można bez przesady — szczery zachwyt wywołały w kołach polityków angielskich, nie skłonnych skądinąd do entuzyazmów. Te przymioty Koła, ta jego wysoka kultura polityczna, której jednem z głównych znamion — głębokie poczucie obowiązku i odpowiedzialności wobec kraju, ten polityczny charakter Koła nakazywał mu stale utrzymywać granicę między *legalizmem a lojalizmem*. Gdzie chodziło o konieczności państwowe, tam Koło — nieraz z wielkiem zaparciem się siebie — spełniało rolę czynnika państwowo twórczego; skoro zaś wypłynęły w ciągu obrad nadużycia rządu, Koło nie wahało się ani chwili stanąć w szeregach tych, co potępiali absolutyzm.

Polityka Koła Polskiego w drugiej dumie była polityką *szlachetnego rozumu*, rozumu *polskiego*, który nigdy bezmyślnie nie klepał pacierza za panią matką Rosyanką z obozu kadeckiego, czy z lewicy, lecz umiał kroczyć swymi własnymi torami, torami rdzennie naszej, niezależnej *polskiej myśli politycznej*".

A dalej:

„My w *zaborze pruskim* ze szczególną odnosimy się wdzięcznością do Koła Polskiego w drugiej dumie. Jego rozumna bowiem, umiarkowana, a jednak męska polityka stanowi poważny krok naprzód w kierunku zrównania różnic w sposobie politycznego myślenia z tej i z tamtej strony kordonu. I tem tłumaczy się, że polityka Koła Polskiego odbiła się u nas tak radosnem echem, że cieszyła się takiem uznaniem u całego uczciwego i rozumnego ogółu.

Dobrze też zdajemy sobie sprawę, że z uczciwą i rozumną polityką Koła nie mógł się pogodzić rząd, inspirowany przez sfery dworskie, które ze swej znów strony słuchały podszeptów suflera wiadomego. Ażeby zasłużyć na „uznanie" kliki rządowo-dworskiej, na to trzeba było uprawiać politykę w miarę — *głupią* i w miarę — *podłą*. To może charakterystyka nieco dosadnia, ale niestety ujmująca jądro rzeczy, istotę stosunku do nas rządu par excellence azyatyckiego, jak się słusznie wyraził Dmowski".

Stałymi współpracownikami „Pracy" są znakomici uczeni i literaci polscy. W gronie ich nie brak profesorów wszechnicy Jagiellońskiej w Krakowie. Wymienimy tutaj docenta dr. Franciszka Bujaka, którego artykuły w świecie naukowym są wysoko cenione. Dr. Bujak przyrzekł nam szereg artykułów o rozwoju stósunków ekonomicznych w dawnej Polsce,

---

Ruch w Towarzystwach.

*** Wiec „Straży"** ***w Góralach***, Pr. Zach. odbędzie się w niedzielę, dnia 23-go czerwca w lokalu p. Sikorskiego o godz 4-tej po poł.

Na porządku obrad: 1. Sprawozdanie z rocznej czynności i dalsza dążność społeczna „Straży." 2. Kwestya założenia towarzystwa ludowego.

O liczny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy.

Bolesław Bardzki.

* **Gdańsk.** Wiec „Straży" odbędzie się w niedzielę, dnia 23-go b. m. w *Kartuzach* w lokalu p. Lipczyńskiego (hotel Karthauser Hof). Początek o godzinie $12^1/_2$ w południe. O liczny udział członków i gości prosi

Czyżewski,
starosta „Straży".

* **Rocznica** *Tow. Śpiewu „Halka" w Jeżycach połączona ze zjazdem Kół śpiewackich.* W roku bieżącym upłynęło lat 15, kiedy młodzież dawniejszego przedmieścia Poznania uznając potrzebę wspólnej pracy około pielęgnowania pieśni naszej ojczystej założyła Tow. śpiewackie pod nazwą Tow. Śpiewu „Halka" w Jeżycach.

Celem zaś pokrzepienia ducha i zaczerpnięcia otuchy do dalszej pracy na niwie melodyi naszej ojczystej oraz omówienia naszych żalów i potrzeb i w celu jak najuroczystszego obchodu 15 letniej rocznicy założenia Tow. urządzamy dnia 29, 30-go czerwca i 1-go lipca r. b. uroczysty zjazd Kół śpiewackich. Aby program uroczystości tej najwięcej urozmaicić zaprosiliśmy bratnie nam Koła śpiewackie do współudziału wspólnej pieśni naszej.

Z zaproszonych Kół śpiewackich przybędą:

Szamotuły, Janówiec, Trzemeszno, Gniewków, Swarzędz, Św. Łazarz (Poznań Koło śpiewackie) Rawicz Grodzisk, Rogoźno i Poznań (Tow. Rzemieślników).

Cieszymy się niezmiernie Szan. druhowie po lutni, że będziemy w krótce mieli zaszczyt powitać Was w grodzie Przemysława i wspólną pieśnią ojczystą pokrzepić się na duchu.

Całość zjazdu zapowiada się więc bardzo dobrze i sądzimy, że Szan. obywatelstwo tak miasta Poznania jak i okolicy poprze te nasze usiłowania i tłumnie podąży w niedzielę dnia 30-go czerwca r. b. do pięknego i cienistego ogrodu „Urbanowa" a materyalne poparcie jakie „Halka" zyska będzie podwaliną do dalszej pracy na niwie pieśni ojczystej.

Cześć Pieśni.
Zarząd Tow. Śpiewu „Halka" w Jeżycach.

* * *

Program obchodu jest następujący:

Sobota dzień św. Piotra i Pawła, dnia 29-go czerwca r. b.

1. Od godziny 4-tej po południu wspólne przechadzki po mieście przedewszystkiem zwiedzenie najcenniejszych pamiątek. Zarząd postarał się, aby wszystko co godnem widzenia uczestnicy zwiedzić mogli.

Wieczorem od godziny 7-mej koncert na sali p. K. Schuberta — Jeżyce, Rynek nr. 4, koniec o godzinie pół do 12-tej wieczorem.

Niedziela 30-go czerwca r. b.

2. Nabożeństwo na intencyą zjazdu w kościele Najśw. Serca Jezusowego w Jeżycach o godz. 9-tej rano. Przy końcu pieśń Boga Rodzica.

3. Po nabożeństwie urzędowe otwarcie Zjazdu na sali p. K. Schuberta. — Powitanie gości.

4. Wspólne śniadanie i pogadanka (nakrycie 1 mrk.).

5. W południe o godz. 12-tej jeneralna próba.

6. O godz. pół do 3-ciej wspólny wymarsz ze sztandarami do Urbanowa z lokalu p. Schuberta.

7. Od godz. 4-tej punktualnie śpiewy chórów podług osobnego programu.

8. O godz. 8-mej rozdanie nagród.

9. O godz. 10-tej wieczorem zabawa z tańcem na sali p. Schuberta.

Poniedziałek 1-go lipca r. b.

10. O godz. 11-tej zebranie delegatów.

11. Wspólny obiad (1,50 mrk nakrycie) i pożegnanie delegatów.

Biuro informacyjne w lokalu Tow. w cukierni p. J. Marcinkowskiego — Jeżyce ul. Kościelna nr. 4, podczas zjazdu otwarte w godzinach południowych.

* **Kolonia n. R.** Tutejsze Towarzystwo „Skała" zmieniło swój lokal posiedzeń, który się znajduje teraz przy Nowym Rynku (Neumarkt Nr. 18) Restauracya Fürstenberg u p. Dewalda.

Niniejszy numer jest przedostatni w bieżącym kwartale, więc wielki czas zapisywać

„PRACĘ"

na nowy trzeci kwartał.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Kwity pocztowe na „Pracę" na nowy kwartał zamieszczone są na osobnej stronie pomiędzy ogłoszeniami.

Baczność! *Baczność!*

* **Przewodnik dla czytających**, miesięcznik poświęcony sprawom czytelnictwa, który rozpoczął wychodzić w Krakowie od 1-go kwietnia r. b., zawiesił wydawnictwo.

Abonenci „Pracy", którzy u nas złożyli zniżoną prenumeratę na powyżej wzmiankowane pismo, otrzymają pieniądze z powrotem z potrąceniem portoryum.

Wiadomości.

* **Biuro Straży** *i biuro informacyjne P. C. K. W. przy Alejach (ul. Wilhelmowskiej) nr. 18* w podwórzu jest otwarte codziennie rano od 10—1, po południu od 4—6, w niedzielę i święta od 12—1.

Adres: *Dr. Tadeusz Jaworski Poznań — Posen. Telefon: 1640 tylko w godzinach 10—1 i 4—6.* Prosimy o nadsyłanie wiarogodnego materyału, jako to: zakazów i rozporządzeń policyjnych, nadużyć komisarzów, landratów i urzędników stanu, akt sądowych, wyroków itp. — dla użytku posłów naszych.

* **Walne** *zebranie wyborcze dla powiatu Pleszewskiego* odbędzie się w sobotę *dnia 29-go czerwca o godzinie 5-tej* po południu w Pleszewie na sali hotelu Viktoria z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie walnego zebrania. — 2. Sprawozdanie poselskie posła do parlamentu p. mecenasa Seydy z Poznania. — 3. Sprawozdanie poselskie posła do sejmu pruskiego. — 4. Przemowa o towarzystwie wyborczem. — 5. Wolne głosy. — 6. Zamknięcie zebrania.

O jak najliczniejszy udział prosi
Komitet wyborczy na powiat Pleszewski.

* **Wieś** *szlachecka Hermanowo pod* Jabłonowem (Gosslershausen) w Prusach Zachodnich, 1000 mórg obszaru, *dotychczasowa własność domu bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu,* przeszła mocą kupna na *własność p. Bolesława Kowalskiego,* byłego właściciela Brdowa w Wągrowieckiem.

* **Wieś rycerską Śmieszków** *pod Czarnkowem,* 2 500 mórg znakomitej ziemi, z gorzelnią, cegielnią, z obszernym dworem w prześlicznym, przeszło 50 mórg wielkim parku, dotychczasowa własność p. *Józefa Taczanowskiego* przeszła mocą kupna na *własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu.*

Zdanie gospodarstwa nastąpi w dniu 1-go lipca; z dniem tym bierze p. Taczanowski dzierżawę większych dóbr.

* **T. C. L.** Do Szanownych PP. Bibliotekarzy T. C. L. w W. Ks. Poznańskiem z wyjątkiem powiatu ostrowskiego ponawiam prośbę swoją, wyrażoną w rozesłanym do nich okólniku, aby celem zamiany książek odesłali do 30-go czerwca b. r. frachtem *wszystkie książki* swych czytelni do Poznania, używając listu frachtowego, załączonego do okólnika.

Zaznaczam raz jeszcze, że bibliotekarz, który z tej okazyi wymiany książek skorzystać nie zechce, na zasilenie swej czytelni świeżemi książkami w roku bieżącym *liczyć nie może.*

Z uszanowaniem
Dr. Stefan Michalski,
bibl. główny T. C. L.

* **Biblioteki germanizacyjne.** W 40 powiatach W. Ks. Poznańskiego istnieje obecnie 46 niemieckich bibliotek wędrownych z 486 miejscami wydawania książek. Biblioteki składają się razem z 71 740 tomów, które przeczytały 188 562 osoby. Oprócz tego przekazała bibliotekom powiatowym prowincyalna biblioteka wędrowna 11 200 tomów. Państwo dało na biblioteki powiatowe 17 958 mk., a oprócz tego na bibliotekę prowincyonalną 18 261 mk.

* **Nowe** *zaprowadzenie niemieckiego pacierza i niemieckiej nauki religii.* Czytamy w „Przewodniku katolickim":

Otrzymujemy z kilku stron wiadomość, że śmielsi nauczyciele zaczynają czy to na własną rękę, czy z powodu ustnego polecenia inspektorów

szkólnych zaprowadzać niemiecki pacierz i niemiecką naukę religii dla polskich dzieci w tych nawet szkołach, gdzie dotąd była religia udzielana tylko po polsku. Tak stało się np. w Stanisławowie pod Wrześnią i innych miejscach.

Wobec tego prosimy szanownych czytelników, aby o każdziuteńkim takim przypadku nowego wprowadzenia niemieckiego pacierza, donosili niezwłocznie władzy duchownej.

* **Projekt** *przechrzcenia Ostrowa.* Pozasłużbowy major, teraźniejszy docent przy politechnice w Darmsztacie p. Hermann Pfister wystosował do rady miejskiej list, z propozycyą przechrzcenia Ostrowa na Ostrau albo Osterau.

Zdaje mu się, że on pierwszy podjął ten projekt. Możemy go poinformować, że projekty podobne już były, tylko nazwa „Ostrau" mniej się podobała od nazwy „Ostrowo".

Ostrau jest bardzo zbliżone do polskich słów „o strzał", mogło by tedy powstać przypuszczenie, że nie jest to nazwa „Urdeutsch."

* **Nowy proces** *księży dekanatu lubawskiego.* „Gaz. Grudziądzka" donosi, że księżom dekanatu lubawskiego, skazanym, jak wiadomo, na ciężkie kary więzienne za odczytanie z ambon znanej odezwy w sprawie nauki religii, wytoczono nowy proces za to, że odnośną odezwę ogłoszono w gazetach.

* **Procesy prasowe.** W sobotę, 15-go b. m. toczyły się przed poznańską izbą karną dwa procesy przeciwko redaktorowi „Dzien. Pozn." p. *Dyonizemu Królikowskiemu* za artykuły w sprawie strejku szkolnego. Prokurator wniósł o razem 300 mr. kary, sąd jednak uwolnił p. Królikowskiego od winy i kary.

W tym samym dniu toczyły się ostatnie dwa procesy na tle strejku szkolnego przeciw redaktorowi „Kurjera Pozn." i „Orędownika" p. K. *Ziółkowskiemu.* Prokurator wniósł razem 600 mrk. kary. Sąd jednakże okazał się względniejszym i skazał p. Ziółkowskiego ogółem tylko na 370 marek kary. Ogółem nałożono p. Ziółkowskiemu za obronę polskiej nauki religii 4640 mr. kary, przyczem koszta sądowe wynoszą także około 1200 mr., nie licząc w tem jeszcze kosztów obrony.

Wreszcie zasiadł na ławie oskarżonych redaktor „Przyjaciela Ludu" *p. Majerski,* oskarżony na podstawie paragrafów 131, 135 i 137. Sąd skazał go na 100 marek kary.

* **Kościerzyna,** 12 czerwca 1907. *Potrzebny* jest tutaj *spedytor Polak,* który może mieć pewną egzystencyą, ponieważ kupiectwo w mieście naszem spoczywa przeważnie w polskich rękach. Obecnie jest tutaj tylko żyd, do którego Polacy chcąc nie chcąc ze zleceniami udawać się muszą. Bliższy adres wskaże redakcya „Pracy".

Od Redakcyi.

— *Panu Janowi Serwańskiemu w Wilhelmsburgu.* — Dzieci szkolnych do przedstawień teatralnych używać nie wolno, chyba za osobnem zezwoleniem inspektora szkolnego względnie rektora lub też głównego nauczyciela odnośnej szkoły.

— *Panu Konradowi O. w Szopienicach.* — W Poznaniu: „Praca", „Gwiazda", „Kraina Powieści", „Tygodnik romansów i powieści"; w Mikołowie: „Rodzina"; w Krakowie: „Nowy Tygodnik" (G. Gebethner i Sp.); we Lwowie: „Nasz Kraj." Bliższego adresu nie potrzeba. Spis dokładny wszystkich tygodników i ceny nadeśle Szan. Panu na życzenie każda większa księgarnia polska n. p. w Poznaniu: A. Cybulski.

— *Panu Maksymilianowi M. w Poznaniu i wszystkim tym, którzy nadesłali rozwiązanie zagadki z nr. 23-go po dniu 15-ym b. m.* — Uwzględniamy tylko te rozwiązania, które otrzymujemy do dnia, wyznaczonego w „Pracy" przy każdej zagadce.

— *Panu Wł. Og. w miejscu.* — Nie nadaje się do umieszczenia.

Nauczyciel: Wojtek, uważaj tylko! Jeżeli ci ojciec daruje jeden grosz, a za godzinę znowu grosz, ile masz wtenczas?

Wojtek: Ach, panie nauczycielu, mój ojciec nic nie daruje!

— Pocałowałeś moją córkę, teraz się żeń.
— Panie, zadaj mi lżejszą karę.

Głosy prasy

o „Pobudzce Wyborczej."

(W Poznaniu — 1907 — nakładem autora: Karola Rzepeckiego — czcionkami „Pracy" Sp. z o. p.)

„Dziennik Poznański." Nr. 126. — 5. 6. 07.

„.... Świeżo ukazała się na półkach księgarskich praca p. Karola Rzepeckiego p. t.: Pobudka wyborcza." Jest to **staranne** zestawienie wszelkich szczegółów, które w sprawach wyborczych wiedzieć należy. Zestawienia statystyczne są **przejrzyste i dokładne."**

„Dziennik Kujawski." Nr. 126. — 6. 6. 07.

„... „Pobudka wyborcza." Pod powyższym napisem wydał p. Karol Rzepecki własnym nakładem książkę, która ze względu na treść swą i doniosłość zasługuje na **bliższą uwagę każdego polityka.** Zawiera ona bowiem obfity ze wszech miar ciekawy materyał dotyczący wyborów do parlamentu w dzielnicach polskich, zręcznie ułożony na podstawie źródeł urzędowych, akt władz wyborczych itd....."

„Gazeta Gdańska." Nr. 67. — 6. 6. 07.

„.... I w tem leży właśnie sztuka, której dokazał, bo udowodnił, że jakkolwiek przybyło nam przeszło 100 000 głosów to jednakowoż we wielu okręgach procent oddanych kartek był mniejszy, jak dawniej. Ażeby zaspokoić ciekawość, zkąd to powstało, przytacza pan Rzepecki w swej książce bardzo pouczające szczegóły oraz daje **wskazówki, co nam czynić wypada,** ażeby przy wyborach w przyszłości naprawić złe niejedno....

Książka ta czyta się przyjemnie, raz że jest ułożona bardzo zajmująco, zawiera mnóztwo obrazków, pomiędzy innemi portrety wszystkich naszych polskich posłów, a powtóre, że jest drukowana na pięknym papierze."

„Gazeta Olsztyńska." Nr. 62. — 28. 5. 07.

„.... Nasza inteligencya prędzej mogła sobie pomódz, sięgając do **źródeł niemieckich,** które wszakże z **nieufnością** brał każdy do ręki, o ile zależało nam na wiadomościach, dotyczących naszego ruchu polskiego. Niższe warstwy, nie znając tych źródeł i nie wiedząc, dokąd się zgłosić, pozostawały zupełnie bez podręczników wyborczych. Temu brakowi zaradził pan Karol Rzepecki."

„Goniec Wielkopolski." Nr. 118 — 25. 5. 07.

„.... Każdy kto tylko wyborami się zajmuje, powinien koniecznie nabyć to dzieło, zapoznawające nas nietylko z całym ruchem wyborczym i wzrostem głosów polskich od roku 1871, lecz pouczające w krótki a bardzo treściwie wyzyskanay sposób o całej naszej organizacyi wyborczej i o wszystkiem, co z wyborami jakąkolwiek ma styczność.

Dotąd nie posiadaliśmy pracy, któraby w tak jasny, przystępny i treściwy sposób dawała nam całokształt wyniku walk naszych wyborczych. Temu brakowi zaradził p. Karol Rzepecki, a powiodło mu się najzupełniej.

Już sam rozkład materyału daje nam pogląd, iż mamy do czynienia z dziełem **gruntownie i wyczerpująco opracowanem.**

„Pobudka wyborcza" znajdować się powinna w każdym domu polskim, a przynajmniej posiadać ją powinni wszyscy ci, co pracują nie tylko na chleb powszedni, lecz również dla społeczeństwa i przyszłości jego.

Pobudkę wyborczą poświęcił autor posłowi Leonowi Czarlińskiemu oraz pamięci Władysława dr. Niegolewskiego i śp. Ludwika dr. Rzepeckiego.

Praca ta zasługuje na uznanie i rozpowszechnienie"....

„Górnoślązak". Nr. 122 — 1. 6. 07.

„.... Pobudka Wyborcza" zawiera wielką obfitość faktycznych i statystycznych danych, jest i **ilustrowana bogato** i wydana na pięknym papierze. Druku 194 stronnic."

„Gwiazda." Nr. 22 — 1. 6. 07.

„.... Z prawdziwem więc zadowoleniem powitać należy codopiero wydane dzieło p. Karola Rzepeckiego, delegata wyborczego na miasto Poznań pod tytułem „Pobudka wyborcza". Autor który wielką część życia swego poświęcił prawie wyłącznie agitacyi wyborczej i nabył w tym kierunku cennego doświadczenia, oddał społeczeństwu polskiemu w kampanii wyborczej poważne usługi i niejedno zwycięstwo prawie wyłącznie jego zabiegom i pomysłom zawdzięczamy. Praca na temat wyborów wydana przez męża tej miary stanowić musiała i stanowi dla całego społeczeństwa naszego znakomity nabytek.

Pan Rzepecki sięgnął do najdalszych zakątków Rzeszy niemieckiej, w których zamieszkują Polacy i nie lękając się olbrzymiej wprost i mozolnej pracy, zestawił materyał statystyczny, przedstawiający **prawdziwy skarb** dla wszystkich zajmujących się sprawami wyborczemi.

.... Pobudka mianowicie ważnym przyczynkiem jest wszędzie tam, gdzie chodzić będzie o zawieranie kompromisów wyborczych.

.... Dzieło p. Karola Rzepeckiego, obejmujące prawie 200 **stronnic druku, stanie się z pewnością dla naszych działaczy** wyborczych nieodzownym podręcznikiem, a dla każdego obywatela **czującego po polsku pożądaną lekturą.** Nietylko dobrowa treść, ale i wyposażenie zewnętrzne uczynią je ozdobą każdej redakcyi i biblioteki, a ze względu na wymienione wyżej zalety, cena 4 mk. za egzemplarz, nie jest bynajmniej wygórowaną.

„Kuryer Poznański". Nr. 129 — 8. 6. 07.

„.... Autor jest za bardzo z krwi i kości społecznikiem, za bardzo stoi w środowisku naszych walk i prac zbiorowych, by mu nęcącym wydało się zadanie napisania książki ściśle naukowej, oderwanej od praktyki naszego życia politycznego.

Nie znaczy to, by **materyał** w książce nagromadzony nie miał **poważnej naukowej wartości.** Przeciwnie, po szczegółowem przestudjowaniu „Pobudki wyborczej" przyszliśmy do przekonania, że autor zebrał materjał, przedewszystkiem dane statystyczne, z nakładem wielkiej pracy i zużył go z uznania godną sumiennością i skrupulatnością..... Ktokolwiek bierze czynny udział w naszem życiu publicznem, niech książkę sam z uwagą przestudjuje od początku do końca.

\- -

Strona zewnętrzna wytworna, papier wyborowy. Cena marek 4 wobec tego skromna, zważywszy ile kosztują niemieckie nawet wydawnictwa, o ile zawierają materyał statystyczny.....

Władzom wyborczym, mężom zaufania, agitatorom i wszystkim interesującym się żywiej sprawami politycznemi, szczególniej wyborczemi gorąco książkę p. Rzepeckiego polecamy."

„Kuryer Warszawski". Nr. 164 — 16. 6. 07.

„.... Najlepiej maluje obecny nasz stan rozwoju narodowego wydana przed kilkunastu dniami praca statystyczna p. Karola Rzepeckiego p. t. „Pobudka wyborcza". Znakomite to dzieło opracowane **bardzo sumiennie** i przejrzyście daje w przystępny i treściwy sposób całokształt walk naszych wyborczych i stan posiadania od roku 1871 aż po dzień dzisiejszy; pracę tę cechuje sumienność **i jasność poglądowa.** Autor prawdziwą zdobył sobie zasługę wobec całego społeczeństwa polskiego".

„Pielgrzym" Nr. 62 — 1. 6. 07.

„Pobudka wyborcza". W drukarni „Pracy", własnym nakładem autora, wyszło codopiero bardzo pożyteczne dziełko „Pobudka Wyborcza", pióra znanego w całym zaborze pruskim sprężystego agitatora wyborczego p. Karola Rzepeckiego ...

Dzieło to, aby nie robiło wrażenia suchych dat statystycznych, ma także wizerunki posłów, osób wchodzących w skład komitetów wyborczych itp., co je czyni popularniejszem i podnosi **jego wartość** i znaczenie historyczne".

„Postęp" Nr. 118 — 25. 5. 07.

„.... Wskazówek odnoszących się do wyborów mamy tam pod dostatkiem a wszystko z wielką skrzętnością i znajomością rzeczy zebranych.

.... Główna jednak praca spoczywa w materyale statystycznym wyborczym, zestawionym tak szczegółowo, że dokładniej doprawdy nikt inny nie mógłby tego uczynić. Widać wtem olbrzymią, mrówczą i źródłową pracę.....

Wyborcy mogą być wdzięczni autorowi, który się podjął zebraniem w jedną całość tak obfitego materyału wyborczego. A mógł tylko tego dokonać p. Karol Rzepecki, który od szeregu lat zajmuje się sprawami wyborczemi nietylko z zapałem i mrówczą pracą, ale także z szerszym poglądem na całokształt naszych wyborów i wiele liczb i dat nosi w swej pamięci; jemu przyszło też snadnej książkę taką opracować. **Można tę książkę słusznie nazwać dziełem pamiątkowem.**

Zewnętrzny wygląd przedstawia się także okazale. Papier trwały i ozdobny, druk czysty i wyraźny. Liczne portrety członków główniejszych komitetów prowincyonalnych i posłów przyozdobiają to piękne dzieło. Charakterystyczny jest także obrazek pomysłu artysty p. Gardzielewskiego. Jeden żyd najbardziej wrzeszczy „hurra!" że Polaków pobito, a drugi żyd pokazuje mieszczuchowi polskiemu figę. Polacy mają pospuszczane głowy. Jakież to trafne.

„Pobudkę wyborczą" polecamy wszystkim naszym światlejszym i czynniejszym w życiu publicznem czytelnikom."

„Przewodnik Katolicki." Nr. 24. — 16. 6. 07.

„Pobudka wyborcza." Pod powyższym napisem wydał pan Karol Rzepecki z Poznania własnym nakładem książkę, która ze względu na treść swą i doniosłość zasługuje na bliższą uwagę każdego obywatela, zajmującego się sprawami publicznemi. Zawiera ona bowiem obfity ze wszech miar ciekawy **materyał,** dotyczący wyborów do parlamentu w dzielnicach polskich. **zręcznie ułożony** na podstawie źródeł urzędowych, akt władz wyborczych, oraz wydawnictw niemieckich, istniejących w tym przedmiocie. Książka ta **zasługuje na to,** aby dotarła **do jak najszerszych** warstw ludności.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

15)

(Ciąg dalszy.)

— Nie jestem przecież podlotkiem, zdradzającym moje uczucia — pomyślała, i spokojna na pozór poszła naprzód.

I już stała prawie koło niego, gdy w tejże chwili zbliżył się do rozmawiających jakiś oficer marynarki angielskiej, i kładąc mu poufale rękę na ramieniu, zawołał:

— No jakże, Mainwaring, nie zaszkodziła ci burza?

Ciemnowłosy nieznajomy oddalił się natychmiast, a Felicya stała jak wryta, własnym nie dowierzając uszom.

Mainwaring! Co to miało znaczyć?

Czy się przesłyszała? Ale nie — nazwisko to dźwięczało jej jeszcze w uszach — oficer wymówił je tak jak zupełnie coś naturalnego; Skott zaś odpowiedział mu zaraz i to w taki sposób, jak gdyby wcale nie był zdziwiony, jak gdyby od dawna do nazwiska tego był przyzwyczajony!

— Ah, panna Carleton, — dał się nagle tuż za nią słyszeć głos kapitana, — cieszę się, że panią widzę i winszuję szczęśliwego wyzdrowienia! Jakże się miewają ciotka pani i kuzynki? I wuj pani?

Felicya rozpoczęła z nim rozmowę i gdy przeszedłszy na drugą stronę pokładu znowu na dawniejsze wracali miejsce, zatrzymała się na chwilę i patrząc na niego swemi ślicznemi modremi oczami, rzekła z wesołym uśmiechem:

— Mam do pana wielką prośbę!

— Cóż takiego, droga pani? Już z góry przyrzekam, że wypełnię wszystko, czego pani zażądasz! Chociażby chodziło o zdobycie połowy królestwa angielskiego! Więc czegóż pani sobie życzysz?

— Chciałabym chętnie przejrzeć listę pasażerów!

— Aha! — zawołał kapitan wesoło. — Rozumiem, rozumiem! Chcesz się pani dowiedzieć, czy jaki specyalnie drogi przyjaciel znajduje się na pokładzie! Przedwczoraj pytał mnie też już ktoś o panią......

— Ciekawam, kto? — rzekła Felicya z pozorną obojętnością, podczas kiedy oczy jej wyrażały tysiące pytań!

— O, możesz go pani zaraz zobaczyć — patrz, stoi tam. Jest to pan Mainwaring, rozmawia właśnie z porucznikiem Cotenem. On i ja pospieszyliśmy wówczas pani na pomoc, ale na nieszczęście dla mnie, był on zwinniejszym, niż ja. Gdy wrócił na górę, powiedział mi, że z początku uważał panią za obcą sobie zupełnie, ale potem poznał w tobie znajomą. Więc tak też jest zapewne!

— Tak, znamy się, — odpowiedziała Felicya spokojnie.

— A teraz listę pasażerów! Chodź pani ze mną!

— Jesteś pan bardzo uprzejmy!

A idąc z nim dalej, spytała obojętnie:

— Znasz pan oddawna pana Mainwaringa?

— Nie, poznałem go dopiero tu na pokładzie. Gdy po raz pierwszy usłyszałem jego nazwisko, myślałem, że to krewny państwa, ale dowiedziałem się potem, że tak nie jest.

Kilka minut później trzymała Felicya w drżących rękach listę pasażerów i znalazła wnet to, czego szukała. Zaraz na pierwszej stronie ujrzała znane sobie charakterystyczne pismo sekretarza zmarłego bankiera i wyczytała nazwisko:

„Harold Skott Mainwaring“.

Wyjaśnienia.

Po oddaniu listy uprzejmemu kapitanowi wróciła Felicya na swoje zwykłe miejsce na pokładzie i zamyśliła się głęboko.

Zaledwie śmiała wierzyć własnym oczom i uszom.

„Harold Skott Mainwaring!“

Jak miała to sobie wytłumaczyć? Czyż było możliwem, aby sekretarz, poznawszy dokładnie stosunki rodziny Mainwaringów, miał teraz, pod fałszywem nazwiskiem, dążyć do jakiegoś osobistego celu? Nie, myśl ta była szaloną. W Chesnes zapewniała mu przecież, że uważa go za niezdolnego do popełnienia czegoś niehonorowego lub do kłamania, i przy tem swojem zdaniu postanowiła zostać — chyba by niezbite dowody przekonały ją o jego nieuczciwości. Ale jeżeli on rzeczywiście był Mainwaringiem, to jakież powody zniewalały go do przyjęcia miejsca sekretarza pod nazwiskiem Skotta? które z tych dwóch nazwisk było prawdziwe a które przybrane? Kto jej to mógł powiedzieć?

I jak gdyby w odpowiedzi na te pytania, ujrzała zbliżającego się do siebie Harolda. Był sam i spostrzegłszy Felicyą, uśmiechnął się tak uszczęśliwiony, że młoda dziewczyna zapomniała natychmiast o wszelkich podejrzeniach i powątpiewaniach. Tak wesoło i swobodnie jak w Chesnes podała mu rękę i rzekła z naciskiem:

— Panie Mainwaring, sprawiłeś mi wielką niespodziankę!

Obserwowała go przytem uważnie, ale ani jeden nerw nie drgnął w jego twarzy.

— A ja dodaję to, — odpowiedział serdecznie, — że to dla mnie najmilsza niespodzianka, jaka mnie w życiu spotkać mogła!

Felicya zarumieniła się, on zaś mówił dalej:

— Aż do dziś nie widziałem pani na pokładzie!

— Ani w piątek wieczorem? — szepnęła z uśmiechem.

— Nie, bo poznałem dopiero, kogo w objęciach trzymam, gdy wróciłem na górę. Poznałaś mnie pani?

— Zdawało mi się, że poznaję głos pana i dla tego pragnęłam tem więcej podziękować memu uprzejmemu wybawcy. Teraz dopiero mogę to uczynić, bo aż do dziś nie byłam na pokładzie!

— Nie mów pani, proszę, o podziękowaniu! Gdybym był przeczuwał kto tak odważnie stawia opór burzy, byłbym pomoc moją już wcześniej ofiarował. Możesz pani wyobrazić sobie moje zdumienie, gdy cię nagle poznałem! Teraz nawet nie mogę jeszcze wierzyć, że stoję przed panią!

— Doprawdy? — roześmiała się Felicya. — Ja myślę, że niespodzianka była równie wielką dla nas obojga.

— Doprawdy? — powtórzył Harold rozpromieniony. — Ale w takim razie musimy sobie nawzajem udzielić pewnych wyjaśnień. Wiem dobrze, — dodał poważniej, — że pani nie zawsze rozumiesz moje postępowanie, ale w przeciągu kilku tygodni dowiesz się wszystkiego. Jeżeli jednak panią interesuje, to powiedziałbym ci teraz już niejedno — uspokoiłoby mnie to i......

— A ja umiałabym ocenić taki dowód zaufania!

— Dziękuję pani! Przejdźmy więc na drugą stronę pokładu, jest tam zaciszne miejsce, na którem będziemy sami. Nikt nam nie przeszkodzi!

Felicya zgodziła się chętnie na jego propozycyą i gdy oboje zajęli krzesła, zaczął Harold natychmiast:

— Jest to długa, dziwna historya, lecz opowiem ją pani w krótkości. Przed tygodniem, przechodząc kurytarzem w Chesnes, słyszałem przypadkiem, jak pani opowiadałaś panu Whiteney o nieszczęsnej miłości i o śmierci mego ojca, Harolda Skotta Mainwaringa!

Felicya oniemiała, i szeroko otwartemi oczami patrzała na niego.

— Najdawniejsze moje wspomnienia, — mówił Harold dalej, — wiążą się z domem mych przybranych rodziców w Australii, którzy kochali mnie tak, jak prawdziwi rodzice. Gdy miałem lat piętnaście, powiedzieli mi, że nie jestem ich synem, że zaraz po mem urodzeniu się oddał mnie im ojciec pod opiekę z nadmienieniem, że jeżeli sam się po mnie nie zgłosi, to mają mi, gdy dojdę lat piętnastu, powiedzieć prawdę. Równocześnie dowiedziałem się, że rozłączenie się jego ze mną pochodzi z wielkiej troski, o której powiedzą mi po dojściu do pełnoletności. Otrzymałem wyjaśnienie to w małej, zapieczętowanej paczce, którą ojciec mój dał przybranym rodzicom — miałem ją otworzyć, gdy skończę lat dwadzieścia i jeden, lecz tylko w tym razie, gdyby się ojciec nie zgłosił przedtem po mnie.

Z początku odwiedzał mnie podobno często, ale gdy nieco podrosłem, wyjechał, i pisywał tylko raz po raz do moich opiekunów.

W ostatnim liście, a miałem wówczas pięć lat, donosił opiekunowi, że zamierza udać się do Afryki w celu dorobienia się majątku dla mnie. Od tego czasu wszelkie o nim zaginęły wieści, to jest — dowiedzieliśmy się później dopiero, że znalazł śmierć w falach morskich — tak, jak to pani niedawno opowiadałaś panu Whiteney. O tem wszystkiem powiedziano mi gdy skończyłem lat piętnaście, o mojej matce jednak nie wiem nic — zgoła nic! Dla mego ojca, otoczonego tajemnicą, powziąłem gorącą miłość i głęboki szacunek, graniczący z uwielbieniem, i z niecierpliwością oczekiwałem dnia, w którym wolno mi będzie otworzyć ową paczkę, zawierającą wszelkie wyjaśnienia. Gdy nareszcie dzień ów nadszedł, otworzyłem paczkę i znalazłem w niej oprócz kilku kosztownych pamiątek po ojcu, list jego, pisany do mnie, w gorzkich mękach złamanego serca. Donosił mi tam o wydziedziczeniu go, lecz strata majątku małą mu sprawiała przykrość. Utrata miłości ojca dręczyła go więcej, do rozpaczy jednak doprowadzała go nienawiść jego żony — mojej matki, kobiety, którą ukochał nad wszystko w świecie. I aby jej nie zostawiać mnie — aby ocalić syna z pod zgubnego wpływu matki, powiedział jej, że umarłem zaraz po przyjściu na świat i oddał mnie pod opiekę obcych ludzi! Dla matki miałem być na zawsze umarłym — nigdy nie miała się ona dowiedzieć, że dziecko jej żyje! Otóż to historya mego życia!

— I nie słyszałeś pan nigdy o swej matce? — zapytała Felicya z zajęciem.

— Nigdy! Nie wiem czy żyje, czy umarła, i nie życzę sobie wcale spotkania jej! Nie chcę poznać tego czarnego charakteru, tego niewdzięcznego serca!

Jego twarz przybrała teraz wyraz tak ostry i surowy, jak go Felicya nigdy jeszcze nie widziała. Lecz potem złagodniał znowu i mówił dalej:

— Mój ojciec wyraził w liście swym życzenie, abym nauki kończył w Londynie, dla tego też, skończywszy lat dwadzieścia i jeden udałem się do Anglii. I tam, po krótkim pobycie, zapragnąłem odwiedzić stare dobra rodzinne Mainwaringów, a nie chcąc, aby nazwisko moje podpadło komu, pojechałem tam jako Harry Skott tylko. Posiadłości te znalazłem w obcych rękach i dowiedziałem się, że młodszy brat ojca, sprzedał je po śmierci dziadka, i wyniósł się do Ameryki. Dziadek zaś umarł po ożenieniu się mego ojca. Przypadkowo zupełnie spotkałem starego służącego mego dziadka, który mieszkał we wsi i o wszystkiem mi dokładnie opowiedział. Był to James Wilson, ojciec Johna Wilsona, obecnego kamerdynera Ralfa Mainwaringa.

— Ah! — zawołała Felicya uradowana, — widywałam często tego starego poczciwego człowieka! Opowiedział on panu zapewne historyę rodu Mainwaringów od jakich trzechset lat!

— Tak, i niejedno bardzo było zajmujące, — odrzekł Harold z uśmiechem, — opowiadał mi naprzykład o tem, że stary lord Mainwaring, a więc mój dziadek zaniemógł ciężko po wydziedziczeniu syna, mianowicie po wyjeździe jego do Australii. Żal i wyrzuty sumienia z powodu swej surowości stały się przyczyną jego śmierci, chociaż nie wymówił nigdy imienia zmarłego. Dzień przed śmiercią kazał nagle wezwać adwokata swego, Alfreda Bartona, ponieważ jednak nie było go w domu, sprowadzono zamiast niego innego adwokata, Ryszarda Hobsona, który dawniej pracował w biurze Bortona. I w obecności swego syna, Hugona i przyjaciela swego Aleksandra Rutlera kazał spisać Hobsonowi testament, na mocy którego poprzedni testament uznany był za nieważny i starszy syn jego, Harold Skott Mainwaring wszelkie należne mu otrzymywał prawa. Butler i Ryszard Hobson podpisali testament ten jako świadkowie.

Felicya słuchała z natężoną uwagą, Harold zaś mówił dalej:

— Przy akcie tym był jeszcze jeden świadek, na którego nikt nie zwracał uwagi, to jest James Wilson. Ukrytego w ciemnym kącie nie widział ani Hugon Mainwaring ani Ryszard Hobson. Nazajutrz o piątej rano umarł mój dziadek, uspokojony w przeświadczeniu, że wynagrodził krzywdę wyrządzoną starszemu synowi. W przeciągu dwóch miesięcy umarł stary Butler, i tak jedynym świadkiem testamentu był Ryszard Hobson. Tak mi opowiadał Wilson. Z innego źródła dowiedziałem się jeszcze, że Hugon Mainwaring stał się po śmierci ojca zupełnie innym człowiekiem, nieprzystępnym, ponurym dziwakiem, który nie pozwalał nikomu wspominać imienia brata. Po dwóch latach opuścił Anglią na zawsze, a od tego czasu stał się biedny dotychczas adwokat Hobson, zamożnym, i zaczął się zajmować wyłącznie niezupełnie czystemi sprawami.

W posiadaniu wszystkich tych wiadomości poszedłem do adwokata Bartona, który przechowywał pierwszy testament mego dziadka, i tu dowiedziałem się, że stósownie do przepisów tego testamentu został cały majątek wydany Hugonowi Mainwaringowi, jako jednemu i właściwemu spadkobiercy.

Po zapewnieniu sobie dyskrecyi adwokata Bartona, powiedziałem mu kto jestem i o czem od Wilsona słyszałem. Ku memu wielkiemu zdumieniu uwierzył mi Barton natychmiast i radził, abym po ukończeniu nauk pojechał do Ameryki, wystarał się o dowody oszukaństwa popełnionego względem mego ojca i mnie, i abym wystąpił z memi prawami do majątku Mainwaringów. Na pieniądzach nie zbywało mi bynajmniej, bo ojciec dorobił się w Australii znacznego majątku, i moi opiekunowie są także bardzo majętni.

— Zrozumiesz pani teraz pewnie, dla czego przyjąłem miejsce prywatnego sekretarza u pana Mainwaringa, i pojmiesz, z jaką uwagą badałem korespondencyą jego z Hobsonem. Możesz też sobie wyobrazić moje wzruszenie, gdy pewnego dnia odkryłem pomiędzy papierami Hugona Mainwaringa notatkę, z której poznałem, że drugi testament mego dziadka wcale zniszczonym nie jest — że się znajduje w jego rękach! Wskutek tego szukałem tego testamentu jak ukrytego skarbu i — znalazłem go!

— Oh! — zawołała Felicya uradowana — jakże się cieszę! Powiedz pan, kiedy to było?

— Ostatniego dnia życia Hugona Mainwaringa! Zaledwie w dwie godziny po podpisaniu własnego testamentu!

— Jakie dziwne zrządzenie Opatrzności!

— Tak, rzeczywiście dziwne! I to odkrycie wyjaśni pani, dlaczego w nocy, w której popełniono morderstwo, chodziłem tak długo po pokoju!

— Powiedziałeś pan stryjowi Hugonowi o znalezieniu testamentu?

— Nie, nie miałem już do tego sposobności!

— Ale nie domyślił się on prawdy?

— Wątpię! Dla czego pytasz pani o to?

— Przyszło mi na myśl, że w takim razie mógł jednak odebrać sam sobie życie, chcąc uniknąć skutków swego oszukaństwa. Ale jak to dziwnie, że właśnie pan jesteś synem człowieka, którego z całej rodziny Mainwaringów uważałam zawsze za najszlachetniejszego, i że pan jesteś prawnym spadkobiercą całego majątku stryja Hugona! Nie umiem panu wcale wypowiedzieć, jak mnie to cieszy, i Hugon także ucieszy się bardzo. Nie będzie on się wcale gniewał na pana, za to ojciec jego — ah, o jego ojcu nie można tego samego twierdzić!

— Tak, Hugon dzielnym jest chłopcem — rzekł Harold serdecznie — zawarł on przyjaźń ze mną i mam nadzieję, że dotrzyma mi jej bez względu na zmienione stosunki!

Potem mówił jeszcze o swych planach na przyszłość i wspomniał, że zostanie w Londynie tylko dopóty, dopóki angielskie sądy nie zbadają i nie potwierdzą testamentu, poczem wróci do Ameryki i tam wystąpi z swemi pretensyami co do majątku po zmarłym bankierze.

— Panie Mainwaring — odezwała się Felicya po krótkiej chwili milczenia — dziękuję ci za okazane mi zaufanie i za to, że jestem pierwszą, której wolno ci powinszować tego szczęścia.

Harold uścisnął gorąco podaną sobie rękę, ale gdy spojrzał w promienne oczy dziewczęcia, zmarszczył czoło i odpowiedział bardzo poważnie:

— Jestem pani wdzięczny za te słowa, lecz namyślałem się już nieraz nad tem, czy można mi powinszować znalezienia testamentu, owego ostatniego i najważniejszego dowodu winy Hugona Mainwaringa — właśnie dzień przed jego śmiercią!

— Jak to pan rozumiesz? — spytała zdumiona.

— Można przecież przypuszczać, że gdy wystąpię z swemi pretensyami, nieprzyjaciele moi zaczną mnie posądzać o zamordowanie Hugona Mainwaringa.

— Ależ ktoby śmiał coś podobnego powiedzieć! — zawołała Felicya oburzona.

— Ralf Mainwaring z pewnością!

— Nie, nie wierzę tego, bo on jest zbyt rozsądny, aby myśleć coś podobnie niemożliwego, ale wierzę, że mógłby podniecić w innych podejrzenie na pana.

— O wszystkiem tem myślałem już — odrzekł Harold — mianowicie wówczas, gdy pytałem panią, czy masz zaufanie do mnie i czy dałabyś mi w razie potrzeby dowody twego zaufania!

Felicya zarumieniła się i spuściła oczy. Lecz po chwili podniosła je znowu i patrząc śmiało w jaśniejące szczęściem oczy młodzieńca, rzekła cicho i stanowczo:

— Cokolwiekbądź się stanie, ja wierzę i ufam panu niezłomnie!

— Dziękuję pani więcej, niż to słowami wypowiedzieć zdołam — szepnął wzruszony. — Wierzaj mi pani, że zaufanie twoje i przyjaźń cenię wyżej niż wszystko inne w świecie.

Rozmowa ich dalsza przerwaną została zbliżeniem się porucznika Cohena, którego Harold przedstawił Felicyi jako swego kolegę z lat szkolnych. Zaraz potem udali się wszystko troje do sali jadalnej.

Dla Harolda i Felicyi minęła reszta podróży bardzo prędko i przyjemnie, a przyjaźń, jaka ich łączyła w Chesnes, stała się teraz o wiele jeszcze serdeczniejszą. I pomimo, że nie mówili nigdy o miłości, czytała Felicya w ciemnych jego oczach coś, co wyraźniej przemawiało, niż wszelkie słowa.

Czekała więc cierpliwie.

Harold życzył sobie, aby jej krewni nie dowiedzieli się jeszcze o prawdziwem jego nazwisku, a że fale Oceanu ciągle były wzburzone i wszyscy prawie dla choroby siedzieli w kajutach, przeto można była łatwo zachować tajemnicę. Gdy pan Thornton ujrzał na pokładzie dawniejszego sekretarza swego zmarłego kuzyna, przywitał go bardzo uprzejmie, lecz nie długo z nim rozmawiał, mając tu innych znajomych. Edyta zaś uważała sobie za obowiązek bawienia Izabeli i pani Mainwaring. Panie te ukazały się wogóle na pokładzie dopiero na kilka godzin przed wylądowaniem, gdy wiatr się uciszył. Harold usunął się natychmiast, i wcale się już do Felicyi nie zbliżał.

Pożegnanie ich było krótkie, lecz serdeczne. Felicya dała mu swój adres, a on przyrzekł ją odwiedzić przed wyjazdem swoim do Ameryki.

— Spodziewam się — rzekł — że będę mógł powiedzieć pani wtenczas już coś pewnego o mojej przyszłości.

Słowa te wywołały uśmiech szczęścia na usta Felicyi.

Harold był pierwszym, który opuścił okręt, a Felicya, patrząca za nim z pokładu, widziała, jak go przy wejściu na pomost uprzejmie witał młody jakiś mężczyzna. Był to adwokat Burton. A gdy weszła do swych krewnych, zauważyła w niewielkiej odległości wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, którego, wyjeżdżając z Nowego Yorku, widziała rozmawiającego z Merrickiem, a który patrzał na nią teraz z tym samym uprzejmym uśmiechem, z jakim ją wówczas żegnał mały detektiw.

Miłość zwycięża wszystko!

Mniej więcej trzy tygodnie później złożył Harold wizytę panu Carletonowi i jego córce. Felicya przyjęła go sama i z okrzykiem radości podała mu obie ręce, lecz spojrzawszy na niego, przestraszyła się widokiem jego twarzy. Blady, z zapadłemi oczami i boleśnie skrzywionemi ustami, stał Harold przed nią, postarzały co najmniej o lat dziesięć.

— Byłeś pan chorym — zawołała mimowoli.

— Nie — odrzekł, całując gorąco jej ręce — nie byłem chory, ale bezsenność i ciągły niepokój i strach zniszczyły zupełnie moje siły.

— Niepokój? — powtórzyła zdumiona — i strach? Słów tych nigdy pan jeszcze nie wymówiłeś. Doznałeś pan trudności co do twoich praw majątkowych?

— Moje prawa są nietykalne. Adwokaci zaręczają mi, że mam niezbite dowody, że o ich nieuznaniu ani mowy być nie może! Ale znalazły się inne trudności, dla których usunięcia dużo trzeba zachodów i przygotowań. Nie przybyłem tu jednak po to, aby męczyć panią memi kłopotami, chciałem się tylko dowiedzieć, jak się pani miewa i...

— O, dobrze, jak zawsze — przerwała żywo. — Myślałam też często o panu, i gniewałam się, że nie otrzymywałam tak długo żadnej wiadomości. Czy pan nie wiedziałeś, jak niecierpliwie na nią czekałam?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z bieżącej chwili.

Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury.

(Przedruk wzbroniony).

II.

Jadąc do *Ruczan* — ulubionego miejsca wycieczkowego — wije się pociąg raz po raz w ciemnym lesie iglicowym lub między jasnymi olch szeregami, by w końcu zatrzymać się na dość szerokiej polanie, której ciszę i spokój prócz kilku wil mąci jedynie dworzec kolejowy ze swemi zabudowaniami.

Jest tu — w Ruczanach — skraj puszczy jancborskiej, w Ruczanach, zwanych zapewne od głębokiego wąwozu (ruczaju) łączącego opodal jezioro Guszyńskie z Dolnym. Trudno sobie wystawić idealniejsze ustronie. Otoczone ze wsząd lasami, o których stopy biją fale szerokich jezior, zda się, samo mówi, że, kto spragniony spokoju i samotności znajdzie je nad nimi. To też Ruczany ożywiają się latem znacznie. Mimo to aż nadto tu miejsca, by nie tylko czuć się samym, lecz i być sam ze sobą.

W ostatnich czasach począł i tu, jak na całych prawie Mazurach, rozkwitać handel drzewny. Kolej i ulepszony spław wodny dzięki połączonym kanałom, umożliwił nietylko żywszy, lecz i tańszy transport drzewa. To też każde miasteczko ma po kilka tartaków, które licząc z obszaru i ilości drzewa dobrze prosperować muszą. Jak wiadomo, nosi się rząd pruski z myślą, by kanałami połączyć jeziora mazurskie przez Niemen z Bałtykiem. Podniesie się wówczas niewątpliwie cała nadbrzeżna i leśna okolica. Inna rzecz, że może utraci na tem piękność i spokój jezior i obecnych kanałów mazurskich, zwiedzanych obecnie nader licznie przez turystów niestety przeważnie niemieckich. Bo też piękność jezior mazurskich jest jedyna. Wiją się one w szerokich pasmach, otoczonych falistemi wzgórzami o wspaniałych lasach iglicowych, by nagle zapaść się wązkim przesmykiem w wąwóz olszowy, przez który z trudnością raz po raz przebija się słońca promyk, by w unoszących się oparach dyamentowemi igrać refleksami.

Był prawie wieczór. Słońce zniżało się coraz więcej. Nad kanałem ruczańskim unosiły się coraz wyżej błyszczące w słońcu mgły i opary. Powoli nikło światło, pozostawiając jedynie fantastyczną białość nadwodną. I czułem wówczas żywo ten urok wiejący z klecht, gadek i podań ludowych. Czułem wówczas te nastroje, które



Wspólne zdjęcie Mazurów i Wielkopolan przed domem mazurskim, w którym mieści się redakcya „Mazura."

siłą rzeczy poruszały bujną fantazyę mazurską do tworzenia opowiadań o wilkołakach, demonach i innych groźnych upiorach wodnych, zamieszkujących według starych wierzeń ludowych wody i nadbrzeżne ustronia.

Według nich każdy obszar wody ma swego „opiekuna“ (topicha); niebezpieczne i głębokie miejsca są ich siedliskami. Biada, jeżeli topich, wynurzywszy się z toni, spojrzy na kogo lub zaklaszcze trzy razy w dłonie, wtedy utonąć ktoś musi.



Grupa Mazurów przybyłych do Szczytna na powitanie Wielkopolan. (W środku kandydat na posła Labusch; obok niego powstaniec z 63-go roku 79-letni Jan Kierstan).

Niedługi kanał, a raczej wąwóz ruczański rozszerza się powoli w jezioro Dolne (Nieder-See). Kilkumilową wstęgą przecina ono słynną puszczę jancborską. Brak czasu nie pozwolił nam podziwiać wszystkich jego piękności. Wieczorem przygniata majestatem powagi i ciszy. Opasane wspaniałem ciemnodrzewiem w kilkorazowych przydługich szelmowskich echach, łamiących się o zadrzewione wyspy, lub ginących w zacisznych zatokach, roznosiło na wszelkie strony piosenki nasze. — Tysiące kołyszących się lilii wodnych, i unoszącego się w górze dzikiego ptactwa wodnego ubarwia i od czasu do czasu ożywia spokojny, a chwilami zda się nawet zagadkowy krajobraz.

Zagadkowość jego tworzą w wielkiej części ogromne lasy, których u nas prawie wcale nie znamy. Błogosławiony był to ongi kraj dla myśliwych. Z czasów krzyżackich znane są bogate łowy na grubego zwierza. Mieszkał tu niedźwiedź, a i dziki koń nie był obcy w dziewiczych tych lasach. Dziś tylko wspomnienie pozostało. I żubrów już nie ma, wyginęły też łosie, których podczas polowania króla polskiego Augusta Mocnego z królem pruskim na początku 18 wieku ubito aż sztuk czterysta. Pono i wilków dziś mało; zimą ich więcej, bo jak twierdzą tameczni, przechodzą wówczas z Polski. Natomiast rogaczy, saren i drobnej zwierzyny jest jeszcze wiele, a zapalony myśliwy aż nadto znajdzie upustu polowania w leśnych przestworach.

Nad wodami panuje olszyna; raz po raz przegląda się i smętna brzoza. Im głębiej jednak w las, tem niepodzielniej króluje sosna. Są między niemi wspaniałe okazy. Stare, wysokie du-



Na łące w Rozogach na pograniczu polsko-mazurskiem.

mnie unoszą swe konary, patrząc jakoby z litości na nas drobnych i maluczkich, których u stóp ich wiedzie ciekawość lub też interes. Widziały one przecież niejedno pokolenie, widziały walki i boje, ciężkie nad niemi przeszły burze, wokoło groźne biły gromy, a one wciąż stały i stoją na straży, jako żywe przypomnienie i nakaz na jawie, że mimo wszystko, co bije, gnębi i, zda się, przygniata ludzkość, uledz nie wolno, lecz z dumnie podniesionem czołem i myślą jasną ku szczytom dążyć nam trzeba.

I czujemy się w ich otoczeniu inni, lepsi. Zdaje nam się, że na innym jesteśmy świecie. Innemi drogami myśl nasza ulata, innemi napawa nasze serce tonami. Czujemy się mali i nikli; głęboka cześć dla przyrody, a równocześnie święty lęk i obawa ogarnia nas przed jej misteryami, o których nam mówi górny szum konarów lub szmer kryształowej u nóg naszych wody. A całość tworzy ten nieuchwytny, nie dający się słowy określić ton leśny, który, by odczuć, trzeba go przeżyć i prześnić.

I żyjemy wówczas naturą. Nikną nam obrazy ludzkich walk, pragnień, radości i cierpień. Za nami wszystko, co małe i nizkie, co ludzkie. Przeniesieni w inne światy, gdzie spokój i harmonia tworzą całość, powoli i my wcielamy się w nią, czując niebiańską rozkosz prabytu.

Lecz życie rwie nas do siebie i woła, a wówczas po chwili upojenia budzimy się ze snu wiekowych naszych marzeń z nową siłą do czynu, czystszą i lepszą, bo oczyszczoną w morzu miłości przyrody.

Adam Poszwiński.

Zwykle człowiek zhardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje,
Więc też kiedy go fortuna omyli,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli.

Jan Kochanowski.

Kopalnie olkuskie
w przeszłości.

Wzdłuż brzegów Przemszy Białej znajduje się pustynia Błędowska, która ciągnie się na północno-zachód od Olkusza, na południo-zachód zaś od niego po obu brzegach rzeki Sztoły, dopływu Białej Przemszy, leży druga, nieco mniej rozległa pustynia piaszczysta. Natura jednak nie chciała być bezwzględną macochą dla ziemi Olkuskiej, albowiem we wnętrzu jej złożyła obfite skarby mineralne, które poniekąd wynagradzają jej nieurodzajność. Rudy cynkowe, ołowiane i żelazne znajdują się tu w pokładach skał środkowego piętra systemu tryjasowego. Dzieje kopalń olkuskich można podzielić w zupełnie naturalny sposób na dwa okresy: dawniejszy, gdy wydobywano tam rudę ołowianą, i nowszy, gdy przedmiotem eksploatacyi stały się rudy cynkowe.

Niewiadomo dokładnie, kiedy zaczęto kopać kruszec pod Olkuszem. Najdawniejszy przywilej kopalń olkuskich, którego tekst przetrwał do naszych czasów, został wydany w roku 1374 przez Elżbietę Łokietkównę. Jednak niektóre zwroty w tym dokumencie pozwalają wnioskować, że kopalnie te musiały być czynne na długo już przed jego wydaniem. W każdym razie początki działalności ich były skromne, a wzrost stopniowy i powolny. Że w połowie wieku XV, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, kopalnie olkuskie do poważnego już stopnia rozwoju dojść musiały, wnosimy stąd, że łotrzykowie śląscy, napadłszy na ziemię krakowską w celach rabunku w roku 1457, zdołali do stu koni z kopalń olkuskich uprowadzić. Koni tych w kopalniach używano do ściągania wody.

Pod Olkuszem przy robotach górniczych na pierwszy plan wysunęła się walka z wodą. Grunt pod Olkuszem jest bardzo przepuszczalny. Zarówno piaski, jak i wapienie, oraz dolimity, nie mogąc utrzymać wody z opadów atmosferycznych na powierzchni ziemi, pozwalają jej przesiąkać niżej.



Z nad jezior mazurskich.
(Patrz artykuł p. t. „Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury").

W pierwszej połowie wieku XVI pod Olkuszem utrzymywano 600—800 koni, używanych do ściągania wody. Środki te jednak przy stałem rozrastaniu się kopalń i ich produkcyi nie mogły zapewne wystarczać, skoro w połowie wieku XVI-go przystąpiono do osuszania kopalń za pomocą sztolni.

Sztolnią w sztuce górniczej nazywany kanał podziemny, przeprowadzony w celu osuszenia pola kopalnianego. Zaczyna ją zwykle kanał odkryty wewnętrzny w miejscu nisko leżącem, — zwykle w dolinie najbliższej rzeki; dalej następuje kanał podziemny (właściwa sztolnia) zstępujący stopniowo w głąb kopalni. Sztolni daje się niewielki spadek ku jej ujściu, aby wody kopalniane mogły przez nią spływać nazewnątrz.

Pierwszą sztolnią, budowaną na terytoryum kopalń Olkuskich, była sztolnia Czartoryska, budowana około r. 1548 w kierunku z południa na północ, od rzeki Sztoły przez Storczynów ku Bolesławowi. Najważniejsze były dwie sztolnie: Ponikowska i Pilecka; przecinały one prawie równolegle najbogatsze pokłady pola kopalnianego Olkuskiego w kierunku mniej więcej z zachodu na wschód, po obu stronach drogi, która dziś prowadzi z Bolesławia do Olkusza.

Niektóre z tych sztolni za dni naszych, w lat 300 z okładem od czasu ich przeprowadzenia, zostały odnowione na rzecz górnictwa cynkowego — tego dziedzica dawnego górnictwa ołowianego. Zwiedzając te sztolnie dzisiaj, podziwiamy ogrom pracy, włożonej w te roboty. Należy bowiem wiedzieć, że w dawnych czasach nie używano wcale prochu do robót górniczych; podziemne kurytarze kilkowiorstowej długości wykuwano w twardej, nieraz litej skale jedynie tylko dłutem i młotem, co najwyżej osłabiając skałę podkładanym pod nią ogniem. Sztolnie te są wymownym dowodem, jak małą cenę wówczas miała praca ludzka w porównaniu z czasami dzisiejszemi.

Z chwilą rozpoczęcia budowy sztolni zaczęła się najświetniejsza epoka w dziejach kopalń olkuskich, przypadająca na drugą połowę XVI i pierwszą XVII wieku. Kopalnie roiły się od kilkotysięcznego gwarnego tłumu górników. O energii i o duchu, który górników tych przenikał w owej epoce — świadczy udział ich, pod wodzą Gabryela Hołubka, w pogromie arcyksięcia Maksymiliana austryackiego w czasie bezkrólewia, poprzedzającego wstąpienie na tron Zygmunta III-go.



Kanał w Ruczanach.
(Patrz artykuł p. t. „Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury").

W zyskach, które dawał kruszec olkuski i metale z niego wytapiane, brali udział nietylko mieszczanie, ale i szlachta w osobie najpierwszych nieraz dostojników państw, a nawet sam panujący.

Jaką zaś sławę miały kopalnie olkuskie u obcych, świadczy najdawniejsze (z roku 1556) dzieło górnicze Niemca Jerzego Agrykoli pod tytułem „Georgii Agricolae Kempnicensis medici ac philosophi de re metallica libri XII — Basileae“. Znajdujemy tam opis i rysunki robót, prowadzonych w kopalniach olkuskich.

Na schyłek epoki rozkwitu dawnych kopalń olkuskich przypadła pierwsza wojna szwedzka. Odbiła się ona niewątpliwie ujemnie na prowadzonych tam robotach górniczych, jak ujemnie odbijać się musiała na wszystkich gałęziach ówczesnej gospodarki krajowej. W drugiej jednak połowie wieku XVII-go chylenie się do upadku przemysłu olkuskiego staje się z każdym niemal rokiem coraz wyraźniejsze i szybsze. Produkcya kopalń zmniejsza się, skargi na gwarków (przemysłowców górniczych) zalegających w opłacie składek na zachowanie w porządku wspólnym kosztem utrzymywanych sztolni, stają się coraz częstsze i bardziej gorzkie. W licznych dokumentach, z tych czasów dochowanych, jest mowa o skwierku ludzi ubogich, „życie na łyczku ważących“ (górników), a zapłaty za krwawą swą pracę nie otrzymujących i przepowiada się bliską ruinę sztolni, które stanowiły poniekąd klucz do kopalń kruszcu ołowianego.

Przepowiednie te wreszcie ziściły się: w początkach wieku XVIII obie główne sztolnie, Ponikowska i Pilecka, w wielu miejscach pozawalały się, a z zapadnięciem się ich ustało także kopanie kruszcu. Przez czas jakiś wytapiano jeszcze trochę ołowiu ze zbieranych w okolicy okruchów kruszcu, pozostałych po dawniejszych robotach.

Przez cały wiek XVIII radzono wielokrotnie nad podźwignięciem kopalń olkuskich z upadku — przez pamięć na „pożytek, jakie one niegdyś skarbowi Króla JMci czyniły“ — sprowadzono górników zagranicznych, w nadziei, że ci potrafią jakich skutecznych wskazówek udzielić. Wszystko to jednak do pożądanego celu nie doprowadziło.

Za Jana Kazimierza, gdy się kopalnie olkuskie do upadku chylić zaczęły — bywały lata, w których topiono do 14000 centnarów ołowiu i odciągano po 1200 grzywien srebra.

W początkach wieku XIX na miejscu dawnych kopalń rudy ołowianej powstały kopalnie rud cynkowych.

K. K.

Ojczyzna.

Ojczyzna! o jak wielka potęga w tem słowie,
Kiedy je umysł pojmie, a serce wypowie,
Jakże silnym jest wyraz, mieszczący świat cały,
Świat wspomnienia, nadziei, poświęceń i chwały.

Ojczyzna! to ta ustroń, gdzie jesteś zrodzony,
Kędy siejesz i zbierasz rok rocznie twe plony;
Kędy dom się twój wznosi okryty drzew cieniem,
I gdzie każdy kamyczek jest jakiemś wspomnieniem.

To ta ziemia, gdzie ciebie rodzinny dźwięk mowy
W kolebce pieściwemi powitał już słowy.
Kędy przodków twych dzieje przetrwały już wieki.
Kędy ojca i matki doznałeś opieki...
Tam prawa ciebie bronią, boś synem tej ziemi,
I radością i smutkiem, bo w dobrej — złej doli
Jest tam uśmiech serdeczny i łezka dla ciebie,
Że wszystkiego zapomnisz, co cię tylko boli,
Kiedy wspólna modlitwa zabrzmi razem w Niebie.

* * *

Jaśniejsze tam słońce, wiatr milszym się zdaje,
Czyż mogą ten urok i obce mieć kraje?....
Nie! bo ta Ojczyzna, dana nam od Boga,
To ziemia jest święta ... Czy ona uboga,
Czy w dary bogata, to jedno dla duszy;
Łączących z nią węzłów, moc żadna nie skruszy;
Z daleka przyciąga swe dziatki i woła,
Nic za nią tęsknoty ukoić nie zdoła.

Ojczyzna! to matka, co tuli do łona
Swe dzieci kochane, ich szczęścia spragniona,
Istnienie im dała, swem mlekiem karmiła,
W miłości też dzieci, jej przeszłość i siła.
Tak! To jest Ojczyzna... W tem mieści się słowie,
Co serce kochając przez usta wypowie;
Tam bracia powinność... tam dla nas świat cały,
Świat wspomnień, nadziei, poświęceń i chwały!

Ojczyzna
w poezjach Mickiewicza.

„Kraj lat dziecinnych!... On zawsze zostanie,
Święty i czysty jak pierwsze kochanie.
Niezaburzony błędów przypomnieniem
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem“.
(Adam Mickiewicz. Pan Tadeusz. Wstęp).

I.

Studya nad wielkimi poetami, jeżeli tak powiedzieć można, podobne są do prac górniczych w kopalniach drogich kruszców.

Jak w tych kopalniach, — za każdem niemal uderzeniem krytycznego młota, odkrywa się w ich nieśmiertelnych myślach, nieocenionej wartości skarby, które wywiedzione na słoneczne światło, błyszczą na niem, rozlewając światło dokoła.

I im więcej się w kopalniach ich ducha zagłębiamy, tem więcej odnajdujemy tych skarbów, tem cenniejsze wyprowadzamy na świat, gdyż w przeciwieństwie do kruszcowych kopalni są one niewyczerpane, dna ich nie widać.

I nic w tem zaiste dziwnego, bo nie materya jest ich twórczynią, bo nie wulkaniczny ogień sił przyrody powołał je do życia, bo poczęte w nieśmiertelności, są one nieśmiertelnością samą, niezgłębioną nigdy i niewyczerpaną, jak nieśmiertelność.

Jednym z niewielkiej liczby poetów, których duch jest właśnie kopalnią taką skarbów nieprzebranych, jest Mickiewicz.

Sercem największy może ze wszystkich jacy przed nim byli, geniuszem dorównywający największym, stoi on przed nami jak olbrzym — drogowskaz, ukazując narodowi ścieżkę, po której kroczyć powinien, aby osiągnął przeznaczeń swoich cel.

Rozczytywać się w nim, rozkosz dla ducha wielka; badać go, niewyczerpane źródło nauki i im bardziej się od niego oddalamy, tem większym blaskiem świeca jego myśli.

Bo płonie w nich ogień, nie gasnący ani na chwilę, bo rozgrzewa on i rozświeca dokoła wszystko, bo sam czas, spychający jednych w przepaść, by wynieść i postawić na świeczniku innych, wobec niego pozbywa się swych praw.

Zamierzam w pracy, którą właśnie oddaję pod sąd ogółu, rozpatrzyć jeden znamienny rys jego dzieł, z kopalni jego nieśmiertelnego ducha, wywieść na słoneczne światło jeden klejnot.

Miłość Ojczyzny.

Jak się w nim ona i przez niego przejawiała, w jakie w poezyach jego przyoblekała formy, jakie miejsce zaj-

nowała w jego wielkiem sercu, w jakim stosunku stawiała się do innych uczuć, oto zadanie, jakie sobie zakreślam. Zadanie wielkie, bo miłość ta, była nim samym; przecież się przed niem nie cofam, a jeśli nie zdołam mu sprostać, ugnę się pod jego ciężarem, pocieszać się tem będę, że przyjda po mnie inni szczęśliwsi, którzy mu podołają. „Wystarcza w rzeczach wielkich chcieć,“ — powiada rzymska maksyma; z myślą więc o niej, biorę pióro do ręki, i niech mnie maksyma ta rozgrzeszy, gdy wykonanie nie pójdzie w parze z chęcią.

Jeden z poetów niemieckich, zastanawiając się nad tem, jakie jest znaczenie poezyi w świecie, wypowiedział te znamienne słowa: „Nic nie jest trwałem oprócz zmiany, nic stałem oprócz śmierci, każde uderzenie serca zadaje nam ranę, i gdyby nie poezya, życie byłoby ciągłem krwi broczeniem.“

I dodał: „Ona udziela nam to, czego nam natura odmawia: wiek złoty, który nie rdzewieje, wiosnę, która nie przekwita, pogodne szczęście i młodość wieczystą.“

Zaiste, ten poeta niemiecki miał słuszność.

Życie, z całym jego, gdy jest młode i zdrowe, czarem, jest jedna walka, walka od urodzenia niemal, do śmierci. Nie przebierając nieraz niestety w środkach, imając się nie zawsze szlachetnych i godziwych, walczymy o byt i osobiste szczęście, a choć walka ta przeważnie jest pokojową i bezkrwawą, krwią serdeczną zalewa przecież miliony ludzkich serc.

Już Hobbes, śledząc przed wiekami za napięciem tej walki, wyraził się, że człowiek dla człowieka jest wilkiem; to, na co nie od dziś niestety spoglądamy, przekonywa nas o tem, że potrafi on być dla niego tygrysem i szakalem. Wre więc dokoła nas i w nas samych, ścierają się gwałtowne namiętności, burz wewnętrznych huragany szarpią dusze nasze na sztuki, i jedno tylko, co nam osładza to życie, co broniąc nas od zwątpienia, ukazuje przed nami ścieżki promienniejszego pochodu — to poezya.

Ona nam je złoci, ona je opromienia, powstrzymuje ramię zadające nam cios, wydłuża to, które balsamem rany koi, — apostołuje miłość.

Po wsze czasy więc była i jest gwiazdą prowadzącą świat ku wyższym celom, elektrycznym prądem, unoszącym serca do góry, z kału ziemi, dźwigającym je na ideału wyżyny.

Ale jeśli bez zaprzeczenia, poezya dla ludzkości całej ma to znaczenie i odgrywa taką potężną rolę, dla nas, jest ona dziś i była wczoraj, czemś o wiele więcej.

Zważmy jedno.

Oto pod koniec 18-go stulecia, nad ziemią, którą od wieków zamieszkujemy, rozszalała się straszna zawierucha, uderzyły w nas huragany, powaliły nas o ziemię, nieledwie bez oporu.

Ona unosząc nas wszystkich ku obłokom, z wyżyn podsłonecznych ukazała rozszarpaną i w łzach tonącą ziemię, kazała nam miłować tę ziemię, wierzyć w jej przyszłość.

I uwierzyliśmy w nią, i z tą wiarą przetrwaliśmy męki Tantala, i jeśli mimo piekielne wrogie siły, padlszy



Znak „Sokoła“ w Dortmundzie.

Przy znaku druhowie:

Jan Kolenda, prezes. *J. Nowak*, przyboczny. *Z. Frąckowiak*, chorąży. *Rajewicz*, przyboczny *Cienki*, naczelnik.

Fotografował: St. Pierzkalski w Dortmundzie.

Bo nie wstydźmy się tego wyznać: było tak.

Państwo, które przetrwało tyle burz, które niby mur twardy osłaniało cywilizacyę i chrześcijaństwo od ruiny i zagłady, było w tym czasie tak dalece stoczone rakiem zepsucia, że gdy krytyczna chwila dla niego nadeszła, nie mogło zdobyć się na energiczny opór.

I gdyby nie Kościuszko i powstanie, na czele którego on stanął, padlibyśmy na polu niesławy z piętnem tak bezgranicznego sromu, że paliłby on nam wszystkim czoła do dziś.

Od tego sromu uratował nas Racławicki bohater, z grzechów przeszłości oczyściła krew przelana w legionach zagranicznych, ale rozdzielonych, skupiła nas i scementowała dopiero w jedną całość, narodowa nasza poezya.

jako naród wielki, nie zginęliśmy jako nikczemny, — jej to mamy do zawdzięczenia.

Była bo ona naszą tarczą, odpierała wymierzone w pierś naszą groty, była przecież lekarstwem i antydotum.

Goiła rany, ale i rozkładała jad zepsucia, gdy się ten w dusze nasze wkradł.

Będąc więc tem, czem była dla całego świata, była dla nas ona i czemś więcej.

Bez niej, mówilibyśmy jeszcze dotąd niezawodnie tym samym co i dziś językiem, nie czulibyśmy tak jak czujemy, stanowilibyśmy wielkie ludzkie zbiorowisko pokrewne sobie i rozumiejące się wzajemnie, nie bylibyśmy narodem.

Ona nas z grobu podniosła, i utrzymała wśród żyjących.

I utrzyma.

Ale jeżeli poezya porozbiorowa nasza, ucieleśniona w trzech największych naszych wieszczach: Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, odegrała taką w życiu naszem rolę, to najwięcej z nich wszystkich do takiego odegrania jej, przyczynił się pierwszy z nieśmiertelnej tej naszej trójcy: Mickiewicz.

„On był dla ludzi mego pokolenia, powiedział o nim Zygmunt Krasiński, miodem i mlekiem, żółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy,“ i Krasiński miał racyę; w nim bowiem skrystalizowało się to, co najszlachetniejszego w sobie ma Polska; przez niego promienieje to, co Polskę w skupieniu trzyma.

Miłość ojczyzny.

A promieniując, stawia tę miłość na takim piedestale, że niby słońce grzeje ona dokoła wszystko, i niby słońce, zieloną murawą pokrywa ziemię, która pozbawiona jej, skrzepła by w lodowej skorupie sobkostwa i egoizmu.

W I. tomie wydanych w Wilnie Poezyach Adama Mickiewicza, na drugiem miejscu znajduje się wiersz, zatytułowany: romantyczność.

Treść tego wiersza jest prosta choć fantastyczna.

Wiejska dziewczyna straciła swojego kochanka. Ale choć go straciła na zawsze, pogodzić się z tą stratą nie może. Więc czując go ciągle przy sobie, bawi się z nim niby z żyjącym, rozmawia z nim, jak gdyby był przy niej, pieści go, jakby nie był marą.

„Źle mnie — (woła) — w złych ludzi tłumie,
„Płaczę, a oni szydzą,
„Mówię, nikt nie rozumie
„Widzę, oni nie widzą.
„Śród dnia przyjdź kiedy... to może we śnie,
„Nie, nie... trzymam ciebie w ręku,
„Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku
„Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie.“

Tym hallucynacyom biednej dziewczyny przygląda się ludzi gromada, skupia się dokoła niej, każe odmawiać pacierze, wierząc w to, że „Jasio być musi przy swej Karusi, gdyż ją kochał za żywota.“

I poeta, świadom olbrzymiej potęgi uczucia, wierzy w to, nie wierzy temu jedynie, zimny jak lodowa skorupa, zgrzybiały mędrzec.

I woła z oburzeniem:

„Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
„W głupstwa wywarzone kuźni:
„Dziewczyna duby smalone bredzi,
„A gmin rozumowi bluźni.“

Słowa te oburzają poetę. Odzywa się więc w ten sposób do starca:

„Dziewczyna czuje, odpowiadam skromnie,
„A gawiedź wierzy głęboko,
„Czucie i wiara silniej mówią do mnie
„Niż mędrca szkiełko i oko.

I dodaje z zapałem:

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
„Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
„Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu.
„Miej serce i patrzaj w serce.“

Otóż ten wiersz, uważam za bardzo znamienny w twórczości wielkiego poety. Pomieszczony w tomie I. jego nieśmiertelnych dzieł, należy on do najpierwszych, jakie wyszły z pod jego pióra.

I bodaj czy nie najcharakterystyczniejszych.

Bo wypowiada myśl, która była przewodnią myślą wszystkich pism i wszystkich czynów poety, od zarania jego życia, do grobowej deski.

Że miłość i wiara, dokonywają cudów, że skoalizowane z sobą, rwą na sztuki najsurowszą materyę, że urągają samej nawet śmierci.

Że co więcej, serce jest tym organem, który regulować powinien życie ludzkie, że trzeba je mieć i niem kierować, jeżeli się chce jak należy żyć.

Czy mam na to przytaczać dowody?

W tym wierszu, który dopiero co przywiodłem, wierzy on w to, że miłość Karusi dla jej Jasieńka, zdolna była z krain w które bezpowrotnie odszedł, przywieźć go do jej stóp; w Odzie do młodości, każe nam być „jednością (na wzajemnej naturalnie miłości opartą) silnymi, a rozumnymi szałem,“ w innym wierszu powiada:

„że gdzie się serca palą
„cyrklem uniesień duch,
„dobro powszechne skalą,
„jedność, większa od dwóch“

a w nieśmiertelnej swojej Improwizacyi, uniósłszy się do Boga, by mu powrócił szczęście narodu, którego go pozbawił, woła:

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie
„Rządzić jak Ty wszystkimi, zawsze i tajemnie.“

A Pan Tadeusz? czyż nie jest on jednem wielkiem ukochaniem tego, co ukochania najbardziej jest ze wszystkiego godne; a w księgach Narodu Polskiego, czyż nie znajdujemy takich słów, że „kto poświęca drugich dla siebie (t. j. idzie za popędem swojego serca) znajdzie mądrość i bogactwo, i koronę na ziemi, w niebie i na każdem miejscu.“

Stanisław Bełza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote listki.

Któż obywatel? ten, co swymi trudy
Wspiera los braci, choć przeciwność bije,
Któremu wdzięczni rzekną bez obłudy:
„Niech żyje wiecznie, bo dla nas on żyje!“

Franciszek Kniaźnin.

* * *

Jest to dość powszechne, ale zupełnie mylne przekonanie, jakoby praca odbierała człowiekowi siły. Przeciwnie, przy pracy skóra grubieje, kości się rozrastają, ciało gęstnieje, cały człowiek staje się tęższym, a tem samem zdrowszym i silniejszym.

Józef Supiński.

* * *

Bywa fałszywa chciwość czytania, tak, jak fałszywy apetyt, z choroby pochodzący; wielu dlatego tylko czyta, że sami myśleć nie mogą, a więcej jeszcze dlatego: że nie chcą.

Kazimierz Brodziński.

* * *

O! jakże smutne życie człowieka!
Skąpe dni gronko w goryczy mu płynie,
Jako kwiat zejdzie i zginie,
Jako cień leci i znika!

Kazimierz Brodziński.

* * *

Nie uwłaczam ja obcych języków potrzebie,
Ale obcy dla obcych, swój miejmy dla siebie.

Cypryan Godebski.

* * *

Smutno, mi smutno — bo dziś jako cnotę,
W serca brać trzeba boleść i tęsknotę,
I Bóg sam duszę dał mi do nich zdolną.
A chyba w Sądu godzinę okrutną,
Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną:
Bo ludziom mówić nie wolno.

Narcyza Żmichowska.

Z wędrówki
po Królestwie Polskiem.

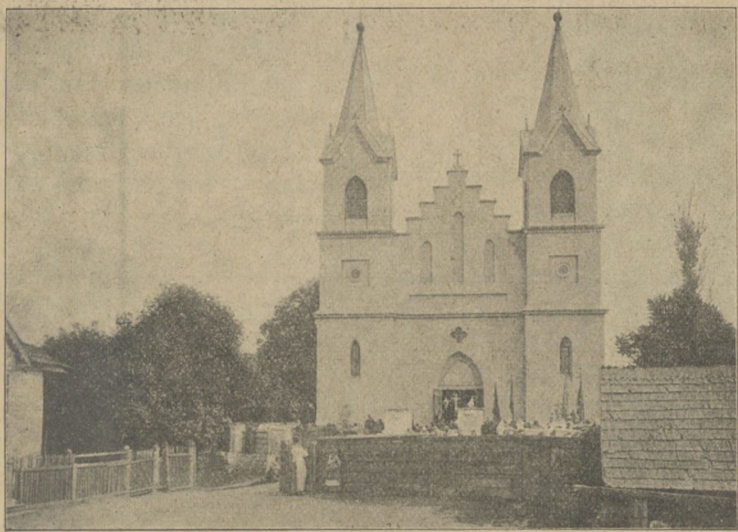
(Ciąg dalszy.)

11)

Powiat iłżecko-opatowski.

IX.

Wyjechawszy z Opatowa przez brudną i cuchnącą uliczkę, zarzuconą kupami gnoju i stosami rozrzuconego drzewa; uliczką tą wydostaliśmy się na szosę, dążącą do Staszowa.



Kościół w Modliborzycach.

Konie pięły się pod wyniosłą, długą, rozkopaną górę, i po wijącej się szosie w wąwozie, który zakrywał krajobraz. Wkrótce jednak znaleźliśmy się na szczycie góry, i ukazała się prawie taka sama perspektywa, jaką widzieliśmy przed Opatowem.

Prześliczne i tu niwy urodzajnej ziemi — a choć natura upośledziła tę cząstkę kraju, bo, w głębiach ziemi nie umieściła skarbów kopalnianych a kominy fabryczne nie świadczą o tych skarbach ukrytych — ale wywzajemniając się — całe bogactwa rozsypała na powierzchni ziemi, i tutejszą okolicę, łącznie z sandomierską, zamieniła w spichrz olbrzymi, z którego czerpać mogą obficie ci, co w pocie czoła pracują w innych stronach kraju pod ziemią; — gdyby nie ta sąsiedzka pomoc, przyszłoby im z głodu umierać.

Jak wspomniałem, panorama prawie się nie zmieniła, — nie opuszcza nas łańcuch gór Świętokrzyskich, który ciągnie się po prawej stronie szosy i zdala, bo o mil parę, błękitna rama, uwita z gór i lasu zasłania doliny krajobraz. Na lewo zaś i w około — folwarki, kępy lasów i ogrodów, i wiejskie kościoły i kościołki.

Przejechaliśmy obok folwarku Czernikowa, dziś rozparcelowanego; zdziwiło nas, widząc funkcyonującą żniwiarkę. Jak objaśnił nas woźnica, to kilku włościan nabyło po 50 morgów gruntu, i wspólnie kupili żniwiarkę.

Dalej minąłem folwark Kobylanki, własność p. H. Winnickiego.

Wprost Kobylanek, po lewej stronie szosy, obecnie rozłożyły się kolonie, na gruntach rozparcelowanego folwarku Kochów.

Kochów, jak utrzymują, miał kiedyś należeć do Wespazyana Kochowskiego, i od jego imienia wieś przybrać miała nazwę.

Być może, że wieś ta należała do jego rodziny, bo sam Kochowski mieszkał w maleńkiej wioseczce Gaj, a była ona dziedzictwem naszego historyka i poety.

Wioseczka ta leżała pod Waśniowem, małem miasteczkiem w Świętokrzyskiem. Stworzył Kochowski w niej, na wzór sławnej w owe czasy rzeczypospolitej babińskiej, podobną w Waśniowie.



Kolonia po sparcelowanym majątku Kochów.

Około miasteczka, za Kobylankami, skręciłem z szosy na boczną drogę, którą pragnęliśmy dojechać do wsi Modliborzyce, oddalonej od szosy pół mili.

Jest tu świeżo odnowiony kościół, staraniem energicznego miejscowego proboszcza ks. M. Kotowskiego, któremu zawdzięczamy opowiedzianą legendę, a wśród ludu po dziś dzień jeszcze powtarzaną.

Na gruzach słowiańskiej, pogańskiej świątyni, która znajdowała się na Łysej górze, gdzie praojcowie nasi z bliższej i dalszej okolicy kraju tłumnie się gromadzili — zbudowano klasztor i sprowadzono doń z Tyńca Benedyktynów. Nazwali oni górę, na której wzniesiony został klasztor, Świętokrzyską, od drzewa Krzyża św., które król węgierski Eryk im ofiarował.

Okolica prawie cała, w promieniu kilku a nawet kilkumilowym, należała do zakonu i pokryta była nieprzebytemi borami — to też i miejscowość, gdzie obecnie jest folwark, wieś i kościół, — Modliborzyce, oddalone od św. Krzyża o półtory mili, były także własnością klasztoru.

Otóż podanie wspomina, że w miejscu, gdzie obecnie stoi kamień, pielgrzym, czy pobożna jakaś dusza, na górze wśród gęstwiny i drzew niebotycznych, własną ręką zbudowała kaplicę, a na drzwiach umieściła napis „Módl się w borze.‟

Ze zbiegiem czasu, gdy wiara chrześciańska coraz głębiej krzewić się zaczęła w sercach mieszkańców, poczęli miejscowość tę pobożni tłumnie nawiedzać, a znalazłszy dogodne położenie i ziemię urodzajną, poczęli las trzebić i osiedlać się.

Benedyktyni zaś, którzy w kraju naszym byli jednymi z głównych czynników cywilizacyjnych i w tutejszych podgórskich okolicach uczyli lud gospodarstwa rolnego, ogrodnictwa i t. p., dopomogli — i wkrótce powstała wieś; na miejscu kapliczki wzniesiono kościół, a umieszczony napis „Módl się w borze‟ stał się dla nowo stworzonej osady nazwiskiem, z czasem zamienionem na Modliborzyce.

W kwietniu r. 1657 stanął tu obozem Karol Gustaw, król szwedzki, oczekując na przybycie swego sprzy-

mierzeńca Rakoczego, księcia Siedmiogrodu. Na przyjęcie tak upragnionego gościa król szwedzki uszykował swoje wojsko, jakby do bitwy — pragnął widocznie zaimponować swem rycerstwem.

Uroczystość ta jednak smutnie się zakończyła i przerwaną została niespodziewanym wypadkiem, bo śmiercią księcia Nassauskiego ugodzonego umyślnie czy przypadkowo postrzałem.

Z Modliborzyc sprzymierzeni na drugi dzień udali się do Ćmielowa, przez Kozaków, a stamtąd do Zawichostu, gdzie Karol Gustaw przeprawił się przez Wisłę.

Kościół w Modliborzycach wystawiony jest na górze, obok zaraz folwark, a u stóp rozciąga się duża wieś, zamieszkała przez zamożnych włościan.

Długo nie było wieści o nich, dopiero po latach kilku przywlókł się jeden, zmizerowany, okryty ranami — drugi zaś miał zginąć od szabel tatarskich.

Po wypoczynku, zagojeniu ran i urządzeniu gospodarstwa — opłakując straty ukochanego brata — ożenił się i wychowywał dzieci. Czas biegł szybko, zabierając dawne wspomnienia i boleść po stracie brata.

Aż tu, po latach pięćdziesięciu, zjawia się we wsi siwy, zgarbiony, pokryty łachmanami staruszek, a w tym nędzarzu poznają dawno opłakiwanego rodzonego brata, który ciężko wtedy ranny, został z placu boju zabrany do jasyru, i w nim lata całe, w ciężkiej pracy cierpiał — w końcu niezdatny do pracy puszczony został na wolność. I lata znów całe wędrował o żebraczym kiju, aby tylko dowlec się do

wrażenie. Czystość ta w około, ta miła atmosfera, która tu każdego przejeżdżającego wita i w oczy uderza — dziwić nie może, bo dom ten obszerny a skromny i zaciszny, pod dachem swoim kryje czystość, cnotę, miłosierdzie i miłość bliźniego — niesie pomoc w nieszczęściu i chorobie, osusza łzy, usuwa cierpienia — bo w domu tym zamieszkują Siostry miłosierdzia.

Właściciel Kobylan ś. p. Rudnicki, przed kilkudziesięciu laty, będąc bezdzietnym, cały swój majątek zapisał na cele dobroczynne, a dochód z Kobylan przeznaczył na szpital w Kurozwękach.

Obecnie w Kobylanach mieszka i zajmuje się gospodarstwem kilka Sióstr z Warszawy od św. Kazimierza — a na czas letnich miesięcy przyjeżdżają tu na odpoczynek osłabione i po-



Odpust w Modliborzycach.



Kobylany.

Powracając z Modliborzyc, po lewej stronie widzimy maleńki folwarczek Bratków, w malowniczej miejscowości, wzorowo zagospodarowany i doprowadzony do wysokiej kultury.

W wędrówkach po kraju spotyka się włościan, którzy trafnością swych poglądów, rozumowaniem, a nawet darem słowa, w podziw wprowadzają. Do takich należał właśnie nasz przygodny furman. Całą drogę prowadził dysputę, opowiadał o stosunkach wiejskich, trafnie charakteryzował każdego obywatela folwarku, przez który przejeżdżaliśmy i t. p.

Mijając Bratków, odwrócił się do nas i zagadnął:

— A czy wie pan, dlaczego ten folwark tak się nazywa? Otóż proszę łaski pana — dawno, oj! i bardzo to dawno, kiedy to nasi tłukli Turków i Tatarów, folwark ten stanowił część bardzo dużego majątku, a właścicielami było dwóch rodzonych młodych braci. Gospodarstwo zostawili na opiece krewniaka, a sami powędrowali na wojaczkę.

swoich i w grobach rodzinnych i we własnej ukochanej ziemi spocząć...

Powrót brata ogarnął radością całą rodzinę; otoczyli go troskliwą opieką i miłością. Bogacz i dziedzic wielkich włości chciał podzielić się majątkiem, lecz wygnaniec i tułacz zgodzić się na to nie chciał — wtedy z całego olbrzymiego majątku oddzielił szmat niewielki ziemi, wybudował folwark i na pamiątkę miłości braterskiej, nazwał go Bratkowem.

X.

Wróciliśmy na szosę Opatowsko-staszowską, wprost wjechaliśmy do wsi Kobylany. Schludne wybielone domki, ciągnące się szeregiem, a tonące w zieleni ogródków owocowych drzew, świadczą o zamożności mieszkańców i o zamiłowaniu do porządku.

Po lewej stronie kolonii mieszczą się zabudowania dworskie; dom śnieżnej białości, spowity także zielenią ginie wśród ogrodów i drzew owocowych — i całe to otoczenie nadzwyczaj robi sympatyczne i niezapomniane

trzebujące świeżego powietrza zakonnice.

W miluchnym tym dworku mieści się kaplica, a przy niej kapelan. Zwykle przysyłany jest przez władzę duchowną taki, który potrzebuje wypoczynku, nabrania sił i zdrowia — a siostry otaczają go macierzyńską opieką, co zawsze sprawia, że powracają go Kościołowi silnym i zdrowym.

Zakonnice są prawdziwemi opiekuńczemi aniołami ludności zamieszkałej w tych dobrach — szkoda, że spełniają literalnie warunki, jakie w testamencie ś. p. Rudnicki zastrzegł — bo opieka na dalszą okolicę dałaby mogła bardzo dodatnie rezultaty. W dobrach tych, u łoża ciężko chorych, są one prawdziwą opatrznością — w chwilach nieszczęścia i rozpaczy zjawiają się pod słomianą strzechą i wnoszą z sobą słowa pociechy, i ukojenie — umieją wpajać cierpliwość i męstwo do znoszenia ciężkiego krzyża, który Opatrzność zsyła na ludzkość... i stają się czynnikiem cywilizacyjno-umoralniającym — słowem są one

wszędzie, gdzie ludzkość cierpi i wzywa pomocy...

Z Kobylan biegnie gościniec wiorst parę, obsadzony wiekowemi lipami — wandalizm jednak mieszkańców, brak dozoru, i dziwna lekkomyślność tych, którzy winni czuwać nad całością własności publicznej, sprawia, że nietylko gościńce nie są obsadzone drzewami nowemi, ale i stare, świadczące o dobrej gospodarce praojców naszych, marnieją i giną z powierzchni ziemi. Smutno patrzeć na te obszarpane, pokaleczone, biedne stare olbrzymy.

Władysław Zapałowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Spartanka.

Obrazek z niedawnej przeszłości.

Duży, stary, modrzewiowy dwór — niewyraźnemi konturami rysujący się na szarem tle listopadowego zmierzchu. Naokół: czarne, rozłożyste gałęzie wysokich, bezlistnych już drzew, za każdym podmuchem zimnego wiatru — wydają głuchy stukot i trzask. A wiatr ten — stopniowo wzmaga się, aż nareszcie z pierwszemi cieniami wczesnego zmroku przechodzi w jakiś gwałtowny wicher, zawodzący jękliwie i nieslychanie żałośnie. Wtórują mu, sypiąc się jak zjadliwe natręty, maleńkie kropelki drobnego deszczu, dokuczliwą chłostą ściągające przechodnia.

O takim ponurym, jesiennym wieczorze, pełnym chłodu i szarpiących nerwy zgrzytów, w obszernym stołowym pokoju starego dworu, ni chłosta deszczu, ni zimny wicher — wyczuwać się wcale nie dają. Duża lampa wisząca, rzuca jasne snopy światła, a opodal, w zaciszu staroświeckiego kominka, w okręgach ciepła, buchającego falami — z płonącej olbrzymiej kłody dębowej, — pogrążona w głębokim fotelu, siedzi kobieta lat średnich, ścigająca wzrokiem pełnym miłości i bezwiednej dumy — postać młodego człowieka, nerwowo tam i napowrót przebiegającego jadalnię.

Z wybitnego podobieństwa rysów twarzy i nader młodzieńczego wieku mężczyzny, w przeciwieństwie do siedzącej, pewnie czterdziestokilkoletniej kobiety, nietrudno się domyśleć: że to matka i syn być muszą.

Tak też jest istotnie.

Właścicielka modrzewiowego dworu i przyległego doń kawałka ziemi, którego zarząd od lat kilkunastu wyłącznie na jej barkach spoczywa, jako jedyną dźwignię i osłodę samotnego życia, posiada tego tylko syna jedynaka; na nim też koncentrują się wszystkie jej ukochania i nadzieje!...

swą szybką przechadzkę po pokoju, przysunął się do stołu i, biorąc ponownie do rąk gazety, zaczął przerzucać ich szpalty, nie czytając już, lecz wprost tylko lubując się niemi, jak czemś niezwykłem, fenomenem jakimś.

— Nareszcie! Nareszcie! — zaczął mówić z dźwiękiem głębokiego



Zabudowania dworskie folwarku Bratków.
(Patrz artykuł p. t. „Z wędrówki po Królestwie Polskiem“).

Teraz widocznie ważna jakaś kwestya poruszyła ich oboje do głębi; uwydatnia się to wyraźnie: w nerwowem zachowaniu syna i zmęczonym tkliwym niepokojem — spojrzeniu jego matki.

Pęk gazet, rozrzuconych na stole i parę kopert rozciętych, pozwalają się domyślać, że to jakieś wieści ze świata zelektryzowały tych dwoje, wnosząc pod ich dach cichy — czucia niezwykłe... budząc jakieś echa zamarłe, czy przytłumione tylko...

Nie muszą to być jednak złe wieści, z rodzaju tych, co kirem żałoby otaczają serce i łez strumienie rzucają do oczu — bo wzrok chłopca płonie ogniem namiętnym, a postać cała rwie się gdzieś gorączkowo, jakby w mimowolnym a przepotężnym porywie!...

W twarzy zaś kobiety pełno jasnych tonów i podniecenia jakiegoś, przyćmionych tylko odblyskami trwogi serdecznej, czy przeczuć matczynych, na widok miotanej niepokojem, młodzieńczej sylwetki syna. Nie spuszcza zeń oczu, śledząc badawczo grę uczuć, na pełnej jeszcze młodocianej ruchliwości twarzy — i umyślnie zachowuje milczenie, nie chcąc przerywać tej chwili ciszy, tak znamiennej zwykle, po pierwszej fali uczuć gwałtownych, lub wieści wstrząsających, gdy umysł zbyt przejęty, a serce zbyt pełne, by myśli i uczucia w dźwięk słów więzić zdołały!

Nakoniec chłopak, przerywając

wzruszenia w głowie — patrz, mamo: wszystkie bez cenzury!...

— Czy czytałaś kiedy takie słowa u nas?

Czy słyszałaś, by głośno publicznie, śmiało wołano: Jesteśmy! Żyjemy!

I patrz, co się tam dzieje?!...

Czy wyobrażasz sobie nasz Pochód Narodowy?... Czy go widzisz?... czy to możebne?...

Nasze pieśni... nasze orły... czy to nie sen!

Ah! i szarża przecież!!... ta straszna szarża na Placu Teatralnym... ta bolesna, krwawa pieczęć na pierwszej godzinie wolności!

Tak: to rzeczywistość — to prawda!

Umilkł, — zapatrzył się w dal nieruchomo, przed oczy duszy wywołując snadź obraz, o którym mówił przed chwilą, bo twarz mu pobladła, a czoło zmarszczka głęboka przecięła, tonami bólu i przedwczesnej powagi piętnując oblicze.

Trwał tak sekund parę, poczem nagle, z właściwą młodości ruchliwością wrażeń, myśl weselsza strzeliła mu z oczów i, odpowiadając widocznie na jakąś niewyrażoną, sobie tylko wiadomą wątpliwość, wykrzyknął:

— Ale przecież żądają Samorządu! Autonomii! Sejmu w Warszawie! i w ponownym porywie uczucia rzucił się ku matce i, tuląc jej dłonie, mówił gorączkowo, radośnie:

— Matusiu! więc godzina nadeszła nareszcie!...

Zbudziliśmy się — już pierwsza pobudka.

Jesteśmy! wszyscy staniemy!!

Przerażenie mignęło w oczach kobiety — błyskawicznie powstała z fotelu, całą postacią, prostując się przed synem.

— Gdzie? Co? Co ci się śni, Wacławie? — zawołała. — Jaka pobudka? gdzie stanąć obiecujesz? Nikt cię nie wzywa przecież...“

— Matko — kraj się budzi! otrząsa z letargu. Ta nasza Ukochana wstaje! W takiej chwili — wszyscy musimy stanąć do czynu: razem, jak jeden mąż! Nie wolno kryć się po kątach.

Hańba biernym i tchórzom!...

Taki był dzielny, z oczyma błyszczącemi zapałem, z twarzą opromienioną blaskiem umiłowanej idei, z całą postacią, rwącą się naprzód niepohamowanie — jak młode orlę na wolność: że mimowolnie duma zabłysła w oku matki, choć łza drżała na rzęsie.

Takim przecież widzieć go chciała, i co tylko w jej mocy było, czyniła, by takim a nie innym jej wyrósł.

Te ognie, co lśnią w jego źrenicach, ona zapalała własnemi słowy, rozżarzając je przez długie lata, aż w płomień wybuchły! Te uczucia, co drżą w jego głosie, z własnego serca, kropla po kropli, przesączała mu w duszę, i oto: w zdrój obfity wytrysły! Nawet tę wolę i tę energię, co zda się niezwalczoną siłą zapału biły z niego teraz, ona krzesała i hartowała w niezapomnianych dniach dzieciństwa, u jej boku spędzanych.

W tej chwili jednak z przerażającą jasnością ujrzała: nieubłaganą konsekwencyę tych uczuć, i zadrżała, śmiertelnem przerażeniem zdjęta, na myśl o skutkach, jakie na tę ukochaną głowę spaść mogły.

On tymczasem przysunął się bliżej jeszcze i, czytając snadź w jej rysach, ciągnął dalej głosem już miękkim, pieszczotliwym niemal.

— Mateczko, nie patrz tak smutno: wszak to chwila radości, godna tryumfu nieśmiertelnego ducha.

Konstytucya! Swoboda!...

Czyż ciebie to nie cieszy. Czyż nie jednakowo czujemy? Czyż nie radujesz się na równi prawie ze mną?!

— Moje uczucia nie inne niż twoje, Wacławie — i nie mniej gorące. Rozumiem je wszystkie. I mnie serce bije... Tylko zapału i radości twojej podzielać nie mogę, bo oczy moje patrzą o wiele dawniej, niż twój wzrok młodzieńczy i widziały już niejedne przebłyski jasne, które potem czarne zmierzchy zasnuły — i niejedne nadzieje świetlane, w złudę nieziszczalną rozpierzchłe.

Jedynym śladem z nich — zostawały purpurowe wieńce krwi, rosą ciężkich łez błyszczące!

Jeden z tych grobowców — wiesz jak nam jest bliskim i drogim... Kro- — i skoro godzina wybija... na posterunku stanąć bez wahania i bez trwogi jutro.

Tak wierzę, matko, a nie ty mi przecież tę wiarę odbierzesz — i nie ty z tej drogi zawrócisz... Nieprawdaż?

— Nie, o nie! — zawołała. Ja



W natchnieniu.

ple krwi na nim nie zastygły jeszcze. Nie mogła mówić dalej: głos jej się złamał — usta boleśnie zadrgały, z oczu — ciężkie, gorące łzy padać zaczęły.

Wacław, pobladł na dźwięk słów ostatnich — lecz płomień w oczach stał się tylko gorętszym i obie dłonie matki ze czcią do ust przycisnął i rzekł poważnie uroczyście niemal.

— Nic nie ginie, matko — i nic nie przepada.

Ani jedna ofiara nie poszła na marne, ani jeden grobowiec nie wyrósł daremnie!

Cienie ofiar: to łańcuch odkupień za przeszłość — rzucony przyszłości.

Grób każdy: to nowych wysiłków podnieta — stu myśli, stu czynów pobudka: to lek potężny przeciw śmierci Ducha.

Więc swojej kolei omijać nie wolno cię nie chcę zawracać, ani powstrzymywać, skoro istotna zajdzie potrzeba.

Ale teraz, w tym pierwszym porywie, w tym pierwszym wybuchu radości, tak bardzo graniczącej z zamętem, gdy nic jeszcze niewiadomo, co jutro nam przyniesie — teraz iść nigdzie nie masz potrzeby!

Umilkła, jakby wyczerpana tym wybuchem i walką z widmem rozłąki, strasznem dla niej, któremu spojrzeć w twarz nie miała sił w tej chwili, bo jej biedne serce całe drżało bólem i krwawiło raną wznowionych wspomnień przeszłości. A oto znów przyszłość stawała przed nią groźna i nieubłagana, w imię tychże samych haseł — nowej żądająca ofiary!...

Wiedziała, że ją spełni, że wysączy aż do dna, aż do kropli ostatniej, wszystką gorycz i wszystek ból na dział jej przypadający — z tej czary

męczeńskiej, którą pokolenia za pokoleniami spełniają z wiarą, że każda kropla zbliża ich do celu, z nadzieją, że zabrzmi w końcu ukochane hasło — z miłością płomienną i niewzruszoną dla Tej, z której świętem dla nich imieniem cicho konają lub giną...

A że krwią z krwi — i kością z kości tych pokoleń była, więc też same ukochania miała w sercu, też same nadzieje — też same świętości w duszy... Jedynie tylko sił jej zabrakło w tej godzinie: zbyt nagle to przed nią stanęło... więc instynktownie — odwlec, opóźnić chciała decydującą chwilę, by zebrać i umocnić się w sobie.

Spojrzała na syna, który, szanując jej wzruszenie, nie śmiał się już odzywać — i wsparty o gzyms kominka, stał poważny z chmurą smutku na czole, — zapatrzony w przyszłość... czy przeszłość może.

Omal nie krzyknęła, ujrzawszy go takim.

„Zgoda“.



Rzut oka na literaturę bieżącą.

(Ciąg dalszy).

Przybyszewski.

Przybyszewski należy do tych indywidualności literackich, które osłonięte jowiszową chmurą, niedostępne tłumom, pojawiają się i znikają nieocenione i niezrozumiane. Tylko pilny badacz-astronom w dziedzinie ducha, rozróżnia taką gwiazdę wśród plejady[1]) mniejszych i większych talentów, obejmuje ją bacznie i zwraca nań uwagę ogółu.

Ktokolwiek jak Przybyszewski talentem i twórczością wzbił się na tak niedostępne wyżyny, z których orlim wzrokiem obejmuje całokształt ludzkich spraw i namiętności ten oczywiście nie goni za efektem, ani sławą. Wypowiada swoje hasła i zasady party wewnętrzną siłą twórczości, obojętny, czy zyskał zwolenników dla swoich idei.

„Nie piszę dla dzieci ani dla panienek“ mówi Przybyszewski w swej książce „Na drogach duszy“, w której najwyraźniej wypowiedział swą opinią o zdaniach i znaczeniu sztuki.

[1]) Plejadą nazywają astronomowie grupy pomniejszych gwiazd.

— Książka ta stanowi najcelniejszy poniekąd utwór Przybyszewskiego pod względem jasności poglądów i obfitego naukowego materyału. Dla odpowiednio wykształconego czytelnika niezmiernie ciekawa i pouczająca.

Ostatnia uwaga stosuje się do wszystkich bez wyjątku książek Przybyszewskiego. Lektura ich osobom mało wykształconym, płytko myślącym korzyści przynieść nie może. Pewna zamaszystość, a nawet brutalność z jaką autor maluje sytuacye drażliwe i subtelne w ocenie takich osób uchodzi za „niemoralność“. I stąd napotkać można tak dziwaczne, płytkie i wprost niedorzeczne zdania o Przybyszewskim.

„W cyklu powieści „Homo sapiens“[2]) Przybyszewski genialnie pochwyconymi rysami maluje nam typy ludzi oddanych na łup swych namiętności, nie ujętych w karby etycznych prawideł, pchanych dziką żądzą niszczenia własnego i cudzego szczęścia.

[2]) Człowiek uświadomiony.

Ludzie to ogromnie smutni — w nic nie wierzący, strawieni sceptycyzmem[3]) — a w dodatku alkoholicy. Typ ten powtarza się z pewną jednostajnością i ztąd Przybyszewskiego powieści, jeżeli je tak nazwać można, nie są w zwyklem znaczeniu „interesujące“ dla przeciętnego czytelnika.



Zalecanki.

„U mnie — mówi autor o sobie, — nic ma zazwyczaj akcyi, gdyż opisuję jedynie życie duszy.“ Nie chodzi mu zupełnie o odtworzenie rzeczywistości, które w literaturze powieściowej jest jednym z koniecznych warunków, lecz o studyowanie stanu duszy danej osobistości w najrozmaitszych jego przejawach.

Mężczyźni w powieściach Przybyszewskiego są w najwyższym stopniu nerwowi, gwałtowni i namiętni, a zarazem nieskończenie wrażliwi i skomplikowani, wszyscy spijają moc alkoholu. Kobiety — to demony zimne, bezduszne, zalotnice, lub bierne, słabe

[3]) Zwątpienie.

i bezsilne w obec brutalnej żądzy kochanków.

Czasem tylko autor unosi się ponad przepaściste głębie swej analizy, ponad brutalność pierwotnych instynktów „nagiej duszy“, wchodzi niejako w ugodę z warunkami rzeczywistego bytu i wtenczas kobieta przestaje być samicą, wampirem, narzędziem szatana, a stanowi symbol tęsknoty nieskończoności.

Wtedy autor powraca do jedynego źródła poezyi, — a język jego staje się prawdziwie poetycznym.

Oto w ogólnych zarysach światopogląd Przybyszewskiego. Jest on obrazem rozkładu i upadku duszy. Lecz nie odsłania nam możności przezwyciężenia owej żądzy „nagiej duszy“, która z ognia namiętności wychodzi nietknięta, zapatrzona w wyższy cel istnienia.

Taką drogą szli Mickiewicz, Goethe i inni geniusze. Takąż drogą szli święci i bohaterzy narodów.

Utwory Przybyszewskiego stanowią niewątpliwie etap w literaturze powszechnej, lecz dla tej właśnie jednostronności nie będą stanowić epoki w naszem piśmiennictwie.

M. G.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Skarb.

(Humoreska).

W miasteczku X. od lat krążyła pogłoska, że przed dawnymi czasy korpus armii francuskiej uchodząc przed nieprzyjacielem, zakopał w pobliskim lesie kasę wojenną. Wszelkie jednak poszukiwania były daremne. Najskrzętniejszym poszukiwaczem kasy był mój dawny kolega szkolny, Jaś Piprzykiewicz, kawaler, który odziedziczył po rodzicach folwark, tuż koło lasu położony i miał długów powyżej uszów.

Przejeżdżając przez miasteczko X., spotkałem Jasia, który pomimo opozycyi z mej strony, zabrał mnie do siebie, ugościł, a popołudniu poszliśmy do lasu na polowanie. Pod wieczór usiedliśmy w lesie pod starym dębem, a ja rozsuwając nogą mech, natrafiłem na coś twardego. Zaczęliśmy wpólnie mech odrzucać, ziemię odkopywać i wkrótce odkopaliśmy wielką, żelazną skrzynię.

— To kasa! zawołał Jaś.

— Kasa! zawołałem.

Kasa była ogromnie ciężką, ale nadzieja złota udzieliła nam sił nadludzkich i postanowiliśmy zanieść kasę do folwarku. Noc zapadła i deszcz lał jak z cebra. Pasami od strzelb przymocowaliśmy kasę do ściętej sosny i tak nieśli. Ziemia była wilgotna, ślizga, co parę kroków padaliśmy z kasą do błota i wkrótce byliśmy zawalani od stóp do głów, a pot oblewał całe nasze ciało. Jęczeliśmy z natężenia jak tytany. Nareszcie po czterogodzinnem natężeniu o północy, przybyliśmy niespostrzeżeni do odległego o kilometr folwarku, ostatnim wysiłkiem sił zanieśli kasę do piwnicy i ze znużenia jak nieżywi upadli na ziemię. Nadzieja złota obdarzyła nas jednak nowemi siłami, i siekierami staraliśmy się odbić wieko skrzyni. Była to ciężka praca.

W czasie krótkiej pauzy zapytał mnie Jaś, jak się podzielimy!

— Dostanę połowę — powiedziałem.

— Mój las — odpowiedział.

— Zgodzę się na trzecią część. —

— Dobrze. A ile może być w kasie złota?

— 150 tysięcy. Dostaniesz 50. Byłoby ci jednak zbyt ciężko tyle złota dźwigać i dlatego dam ci weksel na 50 tysięcy, a potem go wykupię.

Nie bardzo na tę propozycyę zgodzić się chciałem, ale widząc straszne rozdrażnienie Jasia i błyszczącą w jego ręku siekierę, gdy nadto zawalany



Naturalista.

błotem ,w podartem ubraniu wywarł na mnie wrażenie rozbójnika, zgodziłem się i weksel przyjąłem.

Z zapałem zabraliśmy się do rąbania kasy i już świtało, gdy wieko z łoskotem runęło na ziemię. W tej chwili nie chcąc spojrzeć do wnętrza kasy z obawy przed rozczarowaniem, zamknęliśmy oczy i tak czas jakiś siedzieli.

— Włóż rękę do kasy i zobacz co tam jest — zawołał Jaś.

— Boję się! —

— Włóż! —

Po długiem wahaniu, nie otwierając ócz, włożyłem rękę do kasy.

— Zimne! — zawołałem.

— Bo złoto! —

— Okrągłe! —

—Bo złoto! —

Nagle oba otworzyliśmy oczy, nachylili się, spojrzeli do wnętrza kasy i cofnęli jak przed sykiem jadowitego węża: w kasie były aż po same brzegi — ołowiane kule karabinowe!

Weksel Jasia posiadam do dnia dzisiejszego i gdyby go kto chciał kupić to tanio sprzedam.

Teodor S.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 23 czerwca 1576 Stefan Batory formuje gwardyą narodową. — 1767 Konfederacya Radomska. — 1818 pogrzeb Kościuszki w Krakowie.

Dnia 24 czerwca 1305 śmierć Wacława, króla czeskiego i polskiego. — 1394 hołd Pomorczyków. — 1768 rzeź humańska.

Dnia 25 czerwca 1447 koronacya Kazimierza Jagiellończyka. — 1628 pobicie Szwedów pod Kwidzynem. — 1794 bitwa pod Siołem.

Dnia 26 czerwca 1295 koronacya w Gnieźnie Przemysława I. — 1660 sejm zatwierdza traktat Oliwski. — 1812 otwarcie sejmu konfederacyjnego w Warszawie.

Dnia 27 czerwca 1453 Kaźmirz Jagiellończyk zaprzysięga w Piotrkowie przywileje stanom. — 1660 zniesienie Moskwy pod Połonną. — 1697 August II obrany królem.

Dnia 28 czerwca 1764 bitwa pod Słoninem. — 1794 wywieszanie zdrajców w Warszawie. — 1812 sejm konfederacyjny ogłasza niepodległość Polski.

Dnia 29 czerwca 1470 Władysław Jagiellończyk obejmuje tron węgierski. — 1812 Napoleon w Wilnie. — 1831 bitwa pod Włodzimierzem.

Humor i satyra.

Niezła anegdota o głupocie oficerów rosyjskich.

W koszarach moskiewskich był straszny rejwach. Przyniesiono trupa żołnierza, znalezionego w rynsztoku na mieście. Przywołano pułkowego lekarza, który, aczkolwiek nie posiadał wiedzy siedmiu mędrców Grecyi, uczył się podobno medycyny u jakiegoś felczera w połtawskiej gubernii, sumskim powiecie, we wsi Andruszów.

Mędrzec ów pomacał puls mniemanego trupa, zbadał stan krwi za pomocą lancetu, pokiwał głową z żalem, potem spojrzał ze wstrętem i wyrzekł:

— Biery jewo, padleca! Miertwiec! Umier.

Żołdacy, posłuszni rozkazowi wielkiego medyka, który miał nadzieję w niedalekiej przyszłości zostać „prydwornym medykom cara'', na miejsce również rozumnego pana Botkina, pochwycili ciało trupa, wydające jakieś dziwne jęki i wynieśli do pułkowej trupiarni, gdzie ułożyli obok dwóch już spoczywających nieboszczyków.

Po paru jednakże godzinach trup, niezadowolony z wyroku pułkowego medyka i żądny jeszcze wrażeń tego życia, wytrzeźwiwszy się po nadmiernem użyciu „oczyszczonej'' obudził się przerażony nieruchomem sąsiedztwem, chciał opuścić koszary zmarłych i posunął się ku drzwiom, przy których na warcie za karę stał ruski oficer, ba! nawet z gwardyi cesarskiej

— Wasze błahorodje! — odzywa się żołnierz.

— Czewo? — zapytał przerażony oficer, chowając szablę do pochwy i zabierając się do rejterady.

— Pustitie! jej Bohu!

— Niet brat! Ty umier! Nie puszczu!

— Ja był tolko pijań! Jej Bohu!

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się oficer.

— Niet batiuszka, ty umier już, a ty udajesz pijanego. Jak ja by ciebie puścił, to zaraz i drugi by zechciał i trzeci i czwarty i wsie... Nie puszczu!

O Rosyo! o błogosławiony „mądry kraju'', który masz takich medyków i takich oficerów!

* * *

Przesada.

— Czy to prawda, że nazwałeś mnie pan bezczelnym kłamcą?

— Nie użyłem wyrazu „bezczelny''.

— Że też to ludzie zawsze muszą przesadzić.

Szarada.

Ułożył czytelnik „Pracy“ H. W. z Ropczyc w Galicyi.

Pierwsza druga trzecia mostów chronią,
Gdy fale wodne zewsząd na nie gonią,
Druga zdwojona z trzecią zmienioną
To ptak co krzyczy i gada,
Całość zaś było to miasto a potem ogród
[nielada.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 29-go b. m. włącznie.

Rozwiązanie logogryfu z nr. 23-go:
Poznań — Kraków.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania:* pp. L. Ludkowski, Janina Szenicówna, Wanda Plucińska, Marya Zielińska, Wacław Markowski, Karol Środecki (pseudonim), Marysia Zawidzka, Janek z pod Góry Przemysława, W. Krzywiński, B. Marcinkowska. *z prowincyi:* pp. I. Witt i H. Werda z Wągrówca, C. Grzybek z Jarocina, St. Minczykowski i M. Robakowski z Ostrowa, T. Zimoch z Kępna, M. Dybczyński z Pleszewa, H. Grątkowska z Kościana, W. Radtke z Kruświcy, H. Pałkowska i Z. Lewandowska z Gniezna, S. Szczygielska z Krotoszyna, F. Chytry z Kobylina, W. Prałat ze Smigla, W. Smorowski ze Żnina, I. Rychlicka i E. Ruge z Krotoszyna, H. Dobieliński z Rawicza, W. Barcikowska z Gostynia, H. Palczewska ze Środy Jan Szymański (syn) z Ostrzeszowa, H. Wyszomirska z Gołańczy, W. Janas z Wielenia, Z. Starkówna z Mogilna, M. Matuszewski z Wilatowa, S. Pietrzak z Strzyżewa kość., Jadwiga Jachimowicz i Jan Wachowski z Niechanowa, M. Koszutska z Kluczewa, R. Zalisz z Sarbinowa, I. Szałkowska z Kozłowa, J. Nalaskowska z Dąbrówki, Z. Jaworska, W. Sławska, M. Jaśkowiak z Konar, M. Osiński z Barcina, J. Kolańczyk z Kowalewa; *z Prus Zachodnich:* pp. K. Grzenia ze Świecia,W. Reza z Grudziądza, M. Łyczywek z Kowalewa, M. Dominiczak z Grzywny,E. Klejna z Subków, J. Celmer z Bierzgłowa; *z Górnego Śląska:* pp. A. Gross z Łabęd, A. Czwołek z Lipin, K. Oślizło z Szopienic, F. Oleszko z Kunar, A. Skaba z Świętochłowic, I. Pindur z Zabrza, W. Mańka z Kochłowic, J. Kędziora z Grzawy; *ze Śląska austryackiego:* pan O. Kożdoń z Bogumina; *z Galicyi:* pp. H. Wodecki z Ropczyc, J. Zięborak z Biały, W Ostrowski ze Lwowa, M. Skiba z Jasła, A Rejman z Łąki, W. Wachnicki z Bochni; *z obczyzny:* pp. L. Bock, X. Skrzydlewska i St. Wegner z Berlina, S. Frąckowiak z Dortmundu, L. Mąkowski z Witten, I. N. z Hochemmerich.

Nagrodę otrzymali: pp. E. Ruge z Krotoszyna, W. Reza z Grudziądza i W. Wachnicki z Bochni.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

30) # GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy).

Jaśko zrozumiał teraz, że jakaś zbrodnia wielka musiała ciężyć na rodzie przesławnych Święców. Taką pianą wściekłości, nie gniew, lecz oburzenie wytryska i doznanie obrazy śmiertelnej. Wżdy miecznikowstwo to nie dygnitarstwo żadne, wżdy od Leszczyców rodu nie dudniła tak ziemia jak od Święców imionisk, a oto padło pytanie: jakożeś śmiał o dziewce mojej pomyśleć?... Duma Jaśkowa malała, pycha się gięła, w uszach mu biły dzwony, jakby się nimi rozgadały wszystkie wieżyce Krakowa, zaledwie wiedział gdzie jest, z czem przyszedł, przed kim stoi, zaledwie widział przed sob[illegible] pana miecznika i jego palce drgające, które coś wedle pasa szukały. Gdyby na miecz natrafił, kto wie, czyby nie ugodził w pierś Jaśkową, ale Jaśko w obronie żywota swego nie stawał. Ozwał się tylko głosem cichym, w którym drgał ból i nieświadomość winy swojej.

— Miota wami cierpienie jakieś, ażali ja podwójnie nie cierpię?... Umiłowaną dziewkę porwała wam czyjaś ręka bezbożna, świadkiem mi Bóg, żem ją nie mniej od was umiłował. Lecz przed chwilą, nie wiedząc ktom jest, chcieliście mnie do serca swojego przytulić; każdyby więc na tę łaskę waszą zasłużył, byleby miana mojego nie nosił. Co zaś z niem jest, że w Polszcze całej, wstręt jeno, jako gad obmierzły, wzbudza?...

Blada twarz Jaśka, smutek słów, z których zdawało się, że kropliskami wielkiemi ból kapał, umitygowały miecznika gniew. Odnaleziona głownica miecza z palców się wysunęła, krew, zalewająca mózg, cichą gdzieś odpłynęła falą, patrzał chwilę na piękną twarz Jaśka, aż sam się łamać zaczął i chwiać, że Warsz obecny krzesło mu podsunął, na które padł prawie.

Jaśko ukląkł i głowę mu do kolan uchylił.

— Czego on chce? — zwrócił się pan miecznik do Warsza.

— Prawdy — wyszeptał kasztelanic.

— Jam jej żądny... — załkał Wojsław. — Siądź a opowiadaj jako było z onem miłowaniem waszem.

I Jaśko nie skrywał nic; jakby przed konfesyonałem klęczał, jakby przed nim ksiądz był. Opowiedział o swojem po ziemiach obcych tulactwie, o tryumfach rycerskich, przygodach wojennych i rozbudzonej nagłe tęsknocie do kraju rodzinnego. Nie kłamał nic, mowiąc o strasznej śmierci dziada-wojewody i jego testamencie okrutnym. Uśmiechem dziwnej radości skrzywiły się usta pana miecznika, gdy przed jego oczyma przesunął się kondukt samotny, gdy dzwonom ziemi pomorskiej serc zabrakło by grać panu wojewodzie na odpoczynek wieczny. Lecz drgnął, gdy Jaśko o białych płaszczach krzyżackich wspomniał, dech wstrzymał, gdy rękę przyjaźni Wolfframowi podał; stanął jak słup, gdy Jaśko pomstę królowi zaprzysiągł — i wtedy z ust krótkie, jak grom wybiegło słowo:

— Co?...

Ale Jaśko odpowiedział:

— Spowiedź czynię przed tobą, panie — a twoja już rzecz, po skończeniu jej, dać mi libo nie dać odpuszczenia.

I wywinął się, jak z mgły, obraz nocy Andrzejowej, pościg za ukochaną, odnalezienie jej w Krakowie, noc słowicza, i ona chwila straszliwa, w której wyrzekał się szczęścia własnego, dla spokoju dusz ojców w niebie, dla snu cichego prochów ich w mogiłach.

— A teraz sądź, karz, jeżeli winowaty w czem jestem — tylko mnie oświeć, panie, dlaczego tak znienawidzon jest ród mój?.... — dokończył Jaśko.

W milczeniu teraz pan miecznik spowiedzi onej słuchał. Kaganek pełgał, cicho gdzieś w kątku pani Wojsławowa szlochała, w zadumaniu za krzesłem kasztelanica pazik stał, jeno Warsz z dziwnemi myślami tłukł się, rozbierając każde słowo Jaśka o Wolfframie rzucone.

Cisza była — pan miecznik milczał...

Wszystko, co słyszał, wzbudziło w nim uczucia dziwne. Nic nie odtrącało go od Jaśka, wszystko do niego ciągnęło. Najbardziej zniewoliło go ku niemu, to ono wyrzeczenie się szczęścia własnego, dla spokoju praojcowych popiołów. Niegodni byli ofiary takiej, lecz on nie wiedział dlaczego niegodni. Szczęśni, stokroć szczęśni takiego krwi swej dziedzica mając. Jako mu rzec teraz o ich żywotów chydzie? jako-że zwalić świątynny gmach czci jego?...

Wahał się...

Tymczasem Warsz cicho wysunął się z komnaty: miecznikowa płakała.

Miecznik zwrócił się do żony — i rzekł:

— Nie chlipaj... Sprawę naszą król w rękę swoją wziął. Bram nie otworzą, zbój się tu nie ukryje, dziewkę naszą z powrotem mieć będziemy — byleby...

Tu bladość okryła mu twarz, zaledwie dosłyszane: Jezu! z warg wypadło.

Zwrócił się do Jaśka i pytał, czy nie domyśla się nic z tej tajemnicy porwania.

Jaśko wspomniał o zniknięciu Wolfframa, dziwnem, zaiste, lecz zda się żadnego związku niemającem z wypadkiem onym.

— Panie Jezu! miej litość nad nami... — wyszeptał stary.

Wojsławowa zawiodła.

— Nie zawodź... Nie opuści nas Bóg i król... Bram nie otworzą.

Zaiste! bez otworzenia bram nie sposób byłoby uciec.

Milczenie — szept pacierzy zadzwonił w ciszy.

Jaśko się podniósł.

— Dokąd? — spytał miecznik.

— W pościg!

— Za kim... Kędy?...

Odpowiedzi nie było.

— Ostań, my nic tu nie poradzimy... Widzisz! — na grodzie światła płoną, nie śpi królewski dwór. Czekajmy na wieści stamtąd...

Jaśko pochylił się do rąk miecznika...

— A teraz... dzieje ojców moich, panie — szepnął.

— Dzieje twych ojców...

— Niech będzie co chce w nich — wiedzieć chcę...

— Masz siłę?...

— Nie mając jej, progu domu waszegobym nie przestąpił.

Miecznik milczał długo... nakoniec rzekł:

— Słuchaj — a niemały wytrzymaj ból, bo drzazgi za paznogcie wbijać ci będę....

I w ten sens zaczął:

— Święcowie — ród dawny a czasu swojego wielce ojczyźnie swej zasłużony. Kamiennym słupcem tego domu był dziad waszeci, *honestissimus palatinus gedanensis*, a węgły jego wspierało dwóch braci i synów trzech, z których najzamożniejszy był Piotr, ociec twój. Rozległe włości ich sięgały aż w głąb Polski, bogatymi dary kupowano ich przyjaźń, zmieniali się książęta i wielkorządcy, a ich moc żadna wzruszyć nie mogła. Aleć nie spodobała im się wzrastająca króla polskiego potęga, który po latach tułactwa i wygnań, silnie na stolcu krakowskim siadł, a korona czoło swoje ozdobiwszy, chciał w rozdzieleniu będące ziemie

polskie w jedności widzieć. Rodził się blask silniejszy nad Święców blask, lecz trudno było w opozycyi słońcu temu stawać, gdy panu nowemu pokłoniła się Polska cała. Oglądać się tedy poczęli na słupce obce, z margrabiami brandeburskimi w stosunki wchodzić, część grodów warownych, jako zakład przyjaźni, krzyżakom odstępując. Zaniepokojony król do Gdańska wnet zjechał, by rzecz rozpatrzeć a sądzić sprawy pomorskie. Nie tknął godności starego pana Święcy, przy województwie go a w łasce swojej ostawił, lecz Piotrowi, grody królewskie przez Wacława mu niegdyś dane, odebrał, ostawiając jeno kanclerstwo, co czyniąc niebezpieczną moc łamał, brandenburczykom a krzyżakom tem mówiąc: sojuszów chcecie — to otom jest, ja — król!.... Pan kanclerz się obraził, nie przeto, by skrzywdzon był, lecz pierwsze zachwianie się potęgi rodu swojego dostrzegł. Do buntu jawnego sił nie miał, lecz od czego jest — zdrada!....

Jaśko drgnął.... ale po chwili wyszeptał, gdy miecznik umilkł:

— Mówcie.... Pierwszej dopiero drzazgi uczułem ból, mam jeszcze palców dziewięć.

I pan miecznik tak dalej prawił:

— Głowa domu Święców, pan wojewoda gdański, umyślił Pomorze całe w brandenburczyków ręce oddać.

Wezwani — weszli z siłami zbrojnemi, zajęli ziemię pomiędzy Notecią o Drwęca, zamki ochronne, znajdujące się jeszcze w rękach Święców, oddano im, by mieli oparcie przeciwko spodziewanym zastępom króla. Lecz pan nasz miłościwy nie zaspał sprawy, zbrojno nagle wszedł na Pomorze, kanclerza Piotra ujął i uwięził na zamku krakowskim, wojewoda umknął, upominając się o pomoc i dobra swoje, w zakład przyjaźni krzyżakom niegdyś dane — lecz na upadłych nie patrzy nikt, a dóbr się nie oddaje tym, którzy do odebrania ich sił nie mają. — Wojewoda na tułactwie, kanclerz Piotr w więzieniu — na Święców strach padł. Uderzyli tedy w pokorę. I oto bracia kanclerza Jaśko i Wawrzyniec padli do nóg królowi, by, jako zakładników, przy sobie ich zatrzymał, a Piotra, jako głowę domu, bo wojewoda za stary już był, wolnością obdarzył. Panowie radni poparli prośby Jaśka i Wawrzyńca, ręcząc za wierność pana Święcy, lecz oswobodzon kanclerz nieumiarkowanym gniewiem na króla zapłonął, a gdy młodsi bracia, owi zakładnicy dobrowolni, umknęli, słowo rycerskie łamiąc — posłano wnet gońców do brandenburczyków, na których czele margrabia Waldemar stanął, zbój on, zbroczon niewinną krwią Przemysława króla. I padły wszystkie niemal grody pomorskie pod stopami najeźdźców; kanclerz Piotr, przewodził zastępom przez siebie zebranym, a mając jeszcze wiele zamków w posiadaniu swojem, wydał je wszystkie, czem groźnemu Waldemarowi pochód ułatwił. Przy królu został jeno Gdańsk, Tczew i Świecie i zdradziecka pomoc krzyżaków, którzy zająwszy Gdańsk, ustąpić zeń nie chcieli. Lecz Waldemar, pokonany uszedł, Święcowie wszystkie urzędy i dobra utracili, i nie pozostało nic po nich, jeno hańba i wstyd i przekleństwo!...

— I odkupienie win — zawołał Jaśko powstając — i zmazanie grzechu ich i sromoty.

— Amen! — zabrzmiało....

Dziwne *amen!* — nie wymówił go miecznik, nie wypowiedziała go słuchająca pani Wojsławowa, ni pazik, stojący za krzesłem kasztelanica — a zadzwoniło głośno, a z kąta gdzieś wybiegło, silne, potężne i zarazem groźne jakieś.

Oczy wszystkich zwróciły się w to miejsce, skąd ono *amen* wydzwoniło.

W kącie izbicy zamajaczyła postać jakaś, poważny starzec o brodzie siwej, ubrany w czerwień szat. Wązki złoty pas na biodrach połyskał, krótki u boku lśnił miecz, po którym drżąco ślizgał się błysk kaganka. Książęcą czapkę miał na głowie, a wzrostem niewielki był, choć wielkość miał w sobie.....

— Król!... — ozwał się miecznik z krzesła wstając.

Do Jaśka się zwrócił i położył dłoń na jego ramieniu. Król z miejsca się nie ruszył, jeno wzrokiem poważnym patrzał na piękną twarz młodzieńca, który szedł wolno za prowadzącym go miecznikiem i szeptał cicho:

— Król!

I oto stanął oko w oko przed panem.

Nie wiedział sam, czy ręka miecznika zaciężyła na ramionach jego, że pod jej naciskiem ugiąć się musiał, czy moc jakaś, bijąca z twarzy królewskiej, kolanom jego złamać się rozkazała. — Jaśko do stóp się pańskich schylił, drżącem ramieniem Łokietkowe kolana ujął i uczuł, że ciężar jakiś z pochylonych bark jego się zsuwał, że zeń brud jakiś opodał, że rodziło się miłowanie do króla tej ziemi, której on był chwałą, światłością i mocą....

Dłoń Łokietka spoczęła na głowie Święcy...

Była chwila długiego milczenia, tajemniczej łączności dwóch dusz, porozumiewanie się wzajemne. Lecz tego nie rozumiał miecznik. Zdawało mu się, że Jaśko czekał na słowa łaski, a król z wypowiedzeniem ich zwlekał.

— Przemów, panie — odezwał się wreszcie Leszczyc.

— Nie trzeba mu słów, rozumie on bez nich, co mówi dotknięcie dłoni mojej królewskiej...

Jaśko gwałtownie uścisnął kolana króla i zawołał, podnosząc się z klęczek:

— Dla spokoju prochów mych ojców gotowym był zbrodnię popełnić, dziś dla ich spokoju żywot za ciebie dam, panie!

— Wierzę — rzekł król. — A teraz — zwrócił się do miecznikostwa, — do naszych wróćmy spraw.

To mówiąc, do stołu się zbliżył i choć mu Wojsław krzesło, miękkim kilimkiem zasłane podsunął, na ławie twardej usiadł. Porwała się pani Wojsławowa, pozwolić na to nie chcąca, ale król się uśmiechnął i rzekł:

— Były czasy, żem nie siadywał, lecz sypiał na twardym kamieniu. Coś o tem powiedzieć mogą niedalekie skały Ojcowa, a mąż twój im poświadczy.

Spojrzał na Jaśka, wpatrzył się i rzekł:

— Święca!....

W głosie króla, który imię to wymawiał, nie było ni gniewu ni nienawiści, z czem dotąd spotykał się Jaśko w Polszcze będąc, a przecie je wymawiał król najwięcej ze wszystkich skrzywdzon. I przyszedł mu na myśl Wińcz Szamotulski i pan Szary i Warsz i miecznik; każdgeo z nich gniew wzburzył, niemal każdy z nich zniewagą w pierś cisnął, jeno ten król dziwnie miłościwie nań patrzy, a mówiąc: Święca! w to imienisko kładzie całą swych myśli królewskich powagę.

— Wszedłem cicho przez próg ten, jako przyjaciel do przyjaciela, nie król do poddanego, chcąc nieść mu pocieszenie w wielkiem umartwieniu jego a smutku. Słyszałem spowiedź twą, młodzieńcze, słyszałem jakoś z najtajniejszych myśli się swoich rozbierał, obałamucon kłamstwem ludzi, wyrzekający się szczęścia własnego dla ojców swych spokoju. W sam czas przybyłem, w sam czas wypowiedziałem: amen.... Teraz się uspokoją prochy dziada twojego i ojca, bo duchy ich pyszne przejrzały i zrozumiały zło doczesnych postępków swoich — i jeśli odkupienie ma im przyjść, to tylko przez krew ich własną, przez wielkie umiłowanie tego, czego oni ukochać nie umieli, przez łaskę Bożą, która nieznanemi drogami chodzi. Serce twoje przylgnęło do dziewki, której z nazwiska nawet nie znałeś — a ona była dzieckiem jednego z najwierniejszych mi druhów moich; i oto zrządził Bóg, że nieszczęście uderzyło w dom

ten, aleś ty zbawion jest i przypuszczon do łaski królewskiej. Ufanie w Bogu mam, że któryś z rycerzy, bywających w domu pana miecznika, niepewny względów jego i panny, uniósł ją, tem porwaniem dowód gorącości serca swojego chcąc dać — lecz mowy nie może być o jakiejbądź krzywdzie niewieściej, wstyd dziewiczy uszanowan będzie. Za dzień libo dwa, pan miecznik gorącego kawalera z dziewosłębami u siebie zobaczy; zgodzi się on i panna — będzie ślub, nie — nawiązkę za gwałt zapłaci.

Łekko to mówił król a uśmiechem pewności pocieszał. Pewien był, że nim bramy krakowskie się otworzą, wysłani na wywiady dworzanie odnajdą uwodziciela i dziewkę nieuszkodzoną przywiodą.

Ale czas mijał, wieści żadnej nie było — król nie wychodził z izby pana miecznika, wiedząc, że dopóki w niej był, uspokojenie na ławach wszystkich siadało i nie pozwalało się frasunkom panoszyć. Nawet pani Wojsławowa przestała chlipać, a miecznik przypominał rycerzów wszystkich, bywających u niego i jeden tylko był Spytko ze Zgorzelic, który do Helżbietki miał się i nieraz ją straszył porwaniem.

— Możeć on — mruknął pod wąsem.

Uspokoiła go ta myśl.

Król piwo pił — Jaśko nasłuchiwał, czy z wywiadów niewracają rycerze.

— Kędyż się dział Warsz? — po chwili zapytał sam siebie miecznik.

Drzwi się otworzyły... Wszedł, a blady był...

— Wieści?.... — król spytał.

— Złe!....

Porwali się wszyscy, a Jaśkowi serce w piersi stanęło....

Szczęściem, że pani miecznikowej chwili tej nie było. Znużona płaczem, uspokojona słowami królewskiemi i mężowskim domysłem, który na ucho jej rzucił o Spytku ze Zgorzelic — ze służebnemi do izby swojej poszła, by w śnie pokrzepienie a spokój znaleść. Mężowie tylko ostali, a juz nie ma rzeczy takiej, którejby oni wysłuchać nie mogli. Rzekł tedy król:

— Jakto złe?.... cóżeś takiego ułapił, że gęba ci się trzęsie, a niby martwiec wyglądasz?.... Złe!.... zatem są, a jeśli są, to już jest lepiej. No co?... w murowańcu gwałtownik się zamknął i przystępu do siebie nie daje?... To ci strach.... wżdy jako borsuka wykurzę go a za upór hardy łeb pod miecz dać może. Kędyż jest i kto?....

— Za murami miasta....

Nie dokończył, bo król się podniósł, a straszny był, jak uosobienie sądu niemiłosiernego.

— Za murami miasta?... a bramy?

— Grodzka otwarła się przed nim, miłościwy panie!

— Przed kim — hę?.... Jakoże na imię jest temu, który bramy pod bokiem moim, bez mego pozwoleństwa otwiera .....

Warsz milczał — znać nie łatwo mu było wymienić zuchwalca... A z ust Jaśka pobladłych wypadło:

— Wolffram!...

Zaprzeczenia nie było, jeno długo gniotąca cisza.

Król czekał — Warsz musiał mówić...

— Wiadomo jest waszej miłości, że jeżeli czasami człowieka kolka zeprze, to nie bez powodu jest słabość ona: abo się wypiło nad miarę, abo nad możność zjadło! Podobna kolka mnie sparła, przy opowieści tego młodzieńca, gdy począł rzecz wywodzić o znajomościach swoich z panami krzyżakami, a szczególnie o zawartej przyjaźni z rycerzem Wolfframem, który, niby rzep do sukni, boku się jego uczepił i aż do stolicy za nim przydybał w poszukiwaniu za oną dziewką umiłowaną. A co mnichowi do świeckich rzeczy? pogany mu nawracać, Pannę Maryę chwalić, nie pod oknem dziewczyny stać a zawodzeń miłosnych słuchać. Nie spodobało mi się i wiele innych rzeczy, o których z opowieści pana kasztelanica dowiedziałem się. Aż oto dziś znikła lutnia pieśniarska, która młodzieńcowi otworzyła już raz okno panny miecznikówny, a z nią razem i miecznikówna znikła. Pazik słyszał strun brzęki i umówione klaśnięcie w dłoni — a później krzyk, który i do uszu rodzicielów panny Helżbietki doleciał. Owóż przy opowiadaniu takiem, kolka mnie sparła bom czuł, że za dużo niestworzonych rzeczy wysłuchał. A żem, jako stare żołnierzysko, nie raz jeden wroga trapiłem — wyniosłem się cicho, opowieści nie dosłuchawszy, nie, by języka chcieć zabrać, lecz, by zbadać ślady ludzi i koni pod dworcowym murem widoczne. Z kształtów stóp poznałem krzyżowych rycerzy obuwie, podkowy końskie szerokie były. Takie podkowy niemieckie tylko ogiery mają. Ziemia była skopana, o krok już śladów żadnych nie było, jakby koń i jeździec w powietrze skoczyli. Dworzanie waszej królewskiej mości na miasto pobiegli śladów szukać, mnie coś do bramy grodzkiej powiodło.

Dziwo!

Ślad kopyt miary tej samej; znalazłem u wrót. Nie zawróciły się — przez wrota przeszły.

Król się poruszył.

— Kto trzymał straż?

— Hans Beyer.

— Szubienica! — wybiegło cicho z ust Łokietka.

— W dybach już jest — dokończył Warsz.

Miecznik, który dotąd w milczeniu siedział, pogładził siwy włos, tchnął ciężko i rzekł:

— Mojać to strata, mój ból... Mimo to pytam, czy nie za pośpieszny sąd z ust waszych, królu mój, wypadł? czy nie na niewinnego człowieka nogi dyby włożyłeś, mój Warszu? Pewny-żeś jest przewinienia jego?...

— Pewny!... Gdy na wiadome mi hasło, Hans wyszedł ze swej strażnicy, nie mówiąc nic, pokazałem mu ślady podków przed bramą i za bramą. I dostrzegłem, jak zbladł, a gdym go palił spojrzeniem, coś niewyraźnie bełkotać począł — a gdym rzekł: zdrajco!... do stóp mi padł i za grdyke duszony, wyznał wszystko. Wolffram von Salzbach pracował nad przekupieniem go. Niemiec z Niemcem się zwąchał i zdradził zaufanie waszej królewskiej mości, któryś mu winę albertowego buntu przebaczył, gdy pod przysięgą wyparł się wszelkiego w nim uczestnictwa. Odtąd szwanku wierność jego nie poniosła lecz dziś przemówiła psia natura — i zdradził. Przed bramę przyjechał rycerz niemiecki z córką twoją, panie mieczniku, z nimi jakiś ksiądz.

— Jezu!... — z piersi Jaśka długo dławiony krzyk wypadł.

— Gnaj ich teraz — ozwał się król...

Po chwili dwór wawelski zadudnił, zaszczękał. Nie tylko Jaśko z Orlikiem, lecz i inni zacni rycerze dworu królewskiego za mury grodzkie skoczyli i drogami różnemi za umykającym Wolfframem pognali.

Gdy dwór się uciszył, zcichł odgłos pogoni, wtedy ryk straszny rozdarł pierś pana miecznika — i jako słup runął. Ocucił go król jegomość, na którego piersi głowę skołataną oparłszy, łkał miecznik, lecz się uspakajał pocieszającemi słowy króla:

— Siłę miej a moc!... jam tron tracił, traciłem Polskę całą, a czyś mnie widział we łzach?...

— To dziecko; dziecko, dziecko, królu mój i panie!

Szept biegł cicho, boleśnie — echa, zdawały się powtarzać:

— To dziecko, dziecko!

(Ciąg dalszy nastąpi.)